

# RACHUNEK SUMIENIA

**Kilka słów o naszej niedawnej przeszłości**

*Wydanie Amerykańskie*



Bolesław Niemczyk

*Dziękuję S. J. Walkowicza*

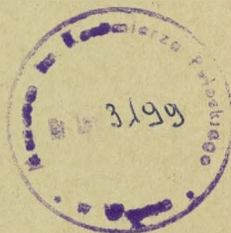
*Koba Zinty*

# RACHUNEK SUMIENIA

Kilka słów o naszej niedawnej przeszłości

*Wydanie Amerykańskie*

•  
Cena 1 dol.  
•



SKŁAD GŁÓWNY: POLISH BOOK IMPORTING CO.  
38 UNION SQ., NEW YORK

1941

54

## OD WYDAWCY

Książka "Rachunek Sumienia" napisana i wydana została w Wilnie w styczniu 1940 r. już po upadku Polski. Napisana została przez dziennikarza polskiego p. Bolesława Niemczyka, jednego z tych rodaków, którzy cierpią dziś najstraszliwszą niewolę — i którzy poznali przyczyny swego i naszego nieszczęścia. Po głębokim namyśle i zasięgnięciu rady wielu ludzi poważnych, duchownych i świeckich, zdecydowałem się bez względu na to, że się narażam, przedrukować książkę p. Niemczyka w Ameryce, bo otworzy ona może nam oczy. "Rachunek Sumienia" jest to krwią pisane OSKARŻENIE RZĄDÓW SANACYJNYCH o niesłychane w historii świata nadużycie zaufania narodu, zdeprawowanie najbardziej patryotycznego społeczeństwa i zaprzepaszczenie niepodległości, zdobytej krwią i cierpieniem całych pokoleń.

Oskarżenie to rzuca w twarz zbirom sanacyjnym i wyznawcom legendy — jeden z milionów naszych rodaków, strąconych w otchłań potwornego obozu koncentracyjnego, jakim dziś stała się Polska. Samo już to oskarżenie jest wyrokiem potępienia, bo jest w nim prawda tak oczywista, i taka straszna, że już jej i winowajcy nie śmia zaprzeczyć. Chcą ją oni tylko stłumić, chcą ją krzykiem swym zagłuszyć, aby nikt jej nie usłyszał, ale dziś się już to nie da. Głos krwi w tej prawdzie zbyt głośno woła. Nikt go dziś już nie przekrzyczy i nie zdusi. Posłuchajcie tego głosu. Przeczytajcie Rachunek Sumienia sanacyjnych rządów w Polsce i podajcie innym też do przeczytania.

Niech każdy Polak w najdalszym zakątku świata wie, co było przyczyną klęski Polski, i jak bronić mamy resztę naszego mienia narodowego i zbiorowej duszy polskiej przeciwko wrogom nie tylko zewnętrznym, lecz i wewnętrznym. Poznać chorobę, która na łożę boleści z nóg nas zwała, to pierwszy krok do wyzdrowienia.

**Roman Galiński**

**New Britain, Conn.**





*Bolesław Niemczyk*

# RACHUNEK SUMIENIA

**Dla Tych, Którzy Popierali Rządy  
Marszałka i Jego Spadkobierców**

## **PRZEDMOWA DO CZYTELNIKA**

W Polsce prawdę zawsze nazywa się **“Przesadą”** lub **“kalaniem świętości”** . . . Czy ta maksyma, o ile jest słuszna, zadecyduje o losach mojej książki? — Nie wiem, nie przesądzam. Ale nic mnie nie przestraszy. Piszę bezinteresownie to, co uważam **za prawdę**: nikt mi za to nie zapłacił, nie mam widoków na żadne wyróżnienie się, na żadną nagrodę, karierę, zdobycie popularności. Opublikowanie tych myśli uważam za swój **obowiązek**.

**Autor.**

## I

**P**ISZĘ te słowa we wrześniu roku Pańskiego 1939 w Wilnie, pod koniec pierwszego miesiąca wojny. Obeszła się z nami w Wilnie łaskawie pani wojenka: dwa naloty niemieckie, zniszczona radjostacja i kilka obiektów wojskowych oraz domów na przedmieściach, ze sto ofiar — rannych i zabitych — to wszystko. To nie Siedlce, gdzie podobno kominy tylko sterczą, nie Lwów i nie Warszawa. Na tym się skończyło, przynajmniej narazie. Teraz już jest spokój, światła się palą na ulicach i w oknach domów. Tylko tanki i traktory bolszewickie grzmią po bruku, a z balkonów zwieszają się czerwone sztandary: z tym nie było najmniejszego kłopotu, po prostu od **“urzędowych”** flag, wywieszanych przeciętnie sto pięćdziesiąt razy do roku, odrywano białą połowę — to wszystko.

Jak to się szybko stało, nie do wiary, jak szybko! . . . Jeszcze przed miesiącem mieliśmy państwo, armję, administrację, szkoły, prezydenta, marszałka, generałów, ministrów i wojewodów, **sądy i więzienia**; a my, mali ludzie, swoją pracę, posady, emerytury, pensję, wysługę lat i t. zw. **“widoki na przyszłość.”** Wszystko to rozwiało się jak mgła, rozsypało, jak domek z kart. Skończył się niepełna dwudziestoletni sen o wolności — **haniebnie i sromotnie.**

## II

**S**TAŁO się to, co przewidywałem i niejednokrotnie przepowiadałem ja, **“obywatel drugiej klasy,”** opozycjonista, **“antypaństwowiec,”** **kandydat do Berezy.** A mimo to nie mogę uwierzyć, nie mogę uznać w całej rozciągłości tego faktu. Cofam się przed ogromem katastrofy, przygnieciony jestem, złęknio-



ny i zdezorjentowany. **“Co robić, co robić?”** — te słowa stały się moim przysłowiem, które mimowoli powtarzam raz po raz. Moje **“jasnowidztwo”** — to **zbyt mała i zbyt gorzka pociecha**. Co musi się dziać w duszy **“lojalnych”** obywateli, pro rządowców, którzy słowem i czynem, w najlepszej wierze, **popierali rządy marszałka i jego spadkobierców?** . . .

Niedawno spotkałem znajomą nauczycielkę. Wyglądała jak cień, jakby wstała po ciężkiej chorobie. — **“Idę do kuratorjum”** — oświadczyła — **“prosić o zwolnienie. Będę zdychać z głodu, ale nauczycielką nie mogę być. Przecież ja cały czas dzieciom wpajałam cześć i uwielbienie dla tych ludzi, którzy nas zgubili.** Czuję, że warta jestem — za deprawację maluczkich — kamienia młyńskiego. **Nie mogę moim uczniom spojrzeć w oczy.** Wczoraj dostałam na lekcji napadu hysterji, sama nie wiem, co się ze mną działo, podobno tarzałam się po podłodze i rwałam włosy — w klasie, przy dzieciach, pan rozumie? **Zazdroszczę mojemu bratu, taki szczęściarz, — zabili go w drugim dniu wojny.”**

— **“Znam szczęśliwych, co do Rumunji uciekli: teraz popijają sobie winko i cieszą się dobrem zdrowiem.”**

— **“Ach, ci! . . . Nikczemna zgraja tchórzów! . . .** Oto jest coś, z czym się nie mogę pogodzić, dzieje się ze mną coś straszego, gdy o tym pomyślę. To ten chłop małorolny, przymierający na przednówku głodem; ten robotnik i bezrobotny sutereniarz; student, wydalony z uniwersytetu za nieuiszczenie cześnego: **ci z karabinem w ręku i paroma patronami w kieszeni szli na tanki niemieckie i kładli się pokotem!** . . . A pan **“marszałek”** Rydz-Śmigły, patentowany **“bohater narodowy,”** o którym pieśni bojowe ukła-

dano, obarczony tytułami i dostojenstwami, obwie-  
szony orderami i odznaczeniami, pobierający kró-  
lewskie uposażenie, — **on nie poczuwał się do obo-  
wiązku w obliczu katastrofy iść w pierwszym sze-  
regu i zginąć!** Wywędrował sobie do Rumunji!” . . .

— “Cóż, to było do przewidzenia. Poszedł śladem  
“**wielkiego marszałka,**” który też uciekł sromotnie z  
pod Kijowa i oświadczył w Warszawie, że od wszy-  
stkiego ręce umywa, bo według niego, “naród jest  
chory i armja chora.” A jakże: wszyscy chorzy, je-  
den on, marszałek, zdrowy. Pewno, tak zwiewać—  
“biegiem marsz,” nie zatrzymując się ani razu, od  
Kijowa pod Płock i Włocławek, na to trzeba zdro-  
wia nielada! Żaden Kusociński ani Nurmi tego nie  
dokaże! Mówiłem pani nieraz: **myśmy tę wojnę  
przegrali w oplutej pamięci maju 1926 roku.**”

Spotkałem kolegę, z którym często dyskutowa-  
liśmy na tematy polityczne gorąco i namiętnie. —  
“Tak” — oświadczył na wstępie — “teraz się prze-  
konałem, że miał pan stuprocentową rację. Bo ja,  
widzi pan, choć miałem chwile zwątpienia, to jednak  
byłem przekonany, że choć ten jeden dział pań-  
stwowości — armję — ci ludzie zorganizowali, jak  
należy i postawili na odpowiednim poziomie. Tym-  
czasem okazało się . . .

Nie dokończył, ja też nic nie odpowiedziałem.  
Tym razem dyskusja urwała się wobec całkowitego  
uzgodnienia poglądów. **Jaka szkoda, że to nie ja  
się myliłem! . . .**

### III

**J**EŻELI mamy pisać prawdę o przeszłości i teraż-  
niejszości, niepodobna ominąć postaci “**pierwsze-  
go marszałka Polski,**” który sam siebie z rozbrajają-  
cą fanfaronadą nazywał “**wielkim człowiekiem.**”

Złośliwa anegdotka głosiła, że dlatego nosił stale zbyt długie, pofałdowane spodnie; były bowiem uszyte na miarę wielkiego człowieka, a nosił je mały, mniej, niż średniej miary człowieczek.

**“De mortuis”** — O zmarłych się źle nie mówi — Tak, wiem, — i zgoda. Ale ten zmarły nie podchodzi pod ten paragraf z wielu względów. Dość wskazać, że w ciągu kilku lat po zgonie wciąż jeszcze rok rocznie obchodził swe imieniny. Jedyny wypadek w dziejach ludzkości. Zmarłych trzeba oszczędzić, bo nie mogą się bronić; ale **ten bronił “swej czci”** — i to jak! — **pięcioma latami ciężkiego więzienia**, które czekały każdego za słowa prawdy i sprawiedliwej oceny. Tak uchwalił ściek serwilistycznej kanalji, zwany starościńsko—sanacyjnym sejmem\*). Połamane żebra, zwichnięta szczęka i zęby, wybite przez honorowych “panów oficerów,” napadających z absolutną pewnością bezkarności, uzbrojoną gromadą na bezbronnego, i ochranianych przez policję, aby im śnać nikt nie przeszkodził w spełnianiu “zaszczytnego obowiązku,” I to była dodatkowa zapłata, uboczna rekompensata, której mógł oczekiwać “sapere ausus.”

Ale to się nie rachowało, to był drobiazg, mały incydent, o którym nie wolno było wspominać ani w prasie ani na rozprawie sądowej, aby obywatelom nie zaprzętać głowy głupstwami. **Ale kto za życia nie znosił prawdy i obwarował się przeciwko niej terrorem, ten musi ją usłyszeć choć po zgonie..** Bo kiedyś wreszcie trzeba się na to zdobyć. Tymbar dziej, że on sam **“wielki zmarły,”** zgoła nie liczył się za życia z takimi naiwnościami, jak względy przyzwoitości. Rzucił obelgi i oszczerstwa na ludzi

\*) Por. “Kurjer Wileński” z dn. 16. III. 1938 r.

nie tylko “nieobecnych,” ale uwięzionych, nie mających żadnej możności sprostowania jego kalumnji, niewinnie przez jego siepaczy katowanych — mam na myśli **“więźniów Brzeskich.”**

Niechżeż więc ten pan w imię swej ongiś mocno problematycznej, a dziś zgoła nieproblematycznej “wielkości” nie żąda dla siebie przywilejów, — teraz, gdy wszystko, niestety, razem z ową “wielkością” leży w gruzach. I to jest ostatni, najpoważniejszy wzgląd i argument: ten **“zmarły”** — żyje. Żyje w naszej bezprzykładnej klęsce, w naszej hańbie i poniżeniu, w potwornym ucisku, który nam dech dławi, w nędzy i nieszczęściu, którym wydano nas na łup, — bezbronnych.

Dlatego trzeba o nim pisać — i pisać raz wreszcie prawdę. Tak jak trzeba wycinać gangrenę, jak trzeba wypalać zatrute jadem ciało.

#### IV

**C**O bezstronnego obserwatora uderza najwięcej w życiu “wielkiego marszałka,” to dziwacznie—kolosalna niewspółmierność jego “czynów” i “bajecznej kariery,” jaką zrobił, powołując się na swe “zasługi.” Same te górnolotnie — idjotyczne tytuły, jakimi go zgraja wyzutych ze czci i sumienia pochlebców i lizusów stroiła dzień w dzień, niby te gęś wielkanocną . . .

Czego tam nie było? . . . **“Pierwszy żołnierz Polski,”** **“wielki nauczyciel narodu,”** **“wskrzesiciel Polski,”** **“odnowiciel państwa,”** **“ten, który”** . . . . a wszystko to stale i obowiązkowo, wbrew ortografji i zdrowemu rozsądkowi — dużymi literami.

Ale przypuszczam, że z całej tej watahy łaszących się i płaszcących gadzin jeden zaledwie był

dostatecznie ograniczony, żeby te bzdury brać całym na serjo: to pan premier Sławoj-Składkowski. Jego wystąpienia publiczne i wiekopomne "Strzępy meldunków" dają obraz głupoty wprost patologicznej i tak absolutnej, że w jego szczerłość możnaby od biedy uwierzyć. To był jeden naiwniaczek. Drugim był sam Piłsudski: nigdy on nie był zbyt mądry, władza uderzyła mu do głowy i ogłupiła go do reszty, do samego dna, do poziomu intelektualnego Sławoja.

Ten "wielki mąż" wstąpił na Wawel tak, jak żył: **bez mózgu i serca**. Z tego punktu widzenia jego ostatni kabotyńsko — błazeński gest — nakaz "**rozparcelowania zwłok**" — jest doprawdy symboliczny. I jeszcze to, że ten surogat mózgu dostał się "dla naukowych badań" w ręce profesora Rose, żyda. To też symbol. **Niechaj żyd bada narzędzie, które mu długo i wiernie służyło**, może w nim znajdzie jakiś ośrodek "**integralnego żydofilstwa**."

## V

**N**IE moim zamiarem pisać historję Piłsudskiego i piłsudczyzny — to zbyt obszerny temat; niepodobieństwo tak długo grzebać się w smakowicie-kopiatej gnojówce, tak czy owak nie wytrzymasz i wyrzygasz się, czy co innego w tym guście, w myśl zasady "złoto do złota." Sądzę zresztą, że historia ta nigdy nie będzie w całej okazałości swej ohydy ujawniona. Nie tylko dlatego, że w Polsce prawdę nazywa się stale "**przesadą**" lub "**kalaniem świętości**" — ale dlatego, że nie znajdzie się dosyć odważny i sumienny człowiek — jeden na trzydzieści milionów — który się tym zajmie.

Bo i taki stanie bezradny wobec braku rzeczo-



wych danych. Już to piłsudczyzna miała zrozumienie dla tych spraw, dowodem tego frazesik o **“odpowiedzialności wobec Boga i historii”** . . . Wygodna **“odpowiedzialność”** zwłaszcza jeśli kto sobie z Pana Boga bimba na potęgę, a **“historję”** fabrykuje za podatkowe pieniądze w rozmaitych **“Biurach historyczno-statystycznych”** i luksusowych wydawnictwach, **pełnych fałszów, przemilczeń, kłamstw i głupstw bezcennych.** Ale to nie wszystko. Piłsudski i jego **“współpracownicy”** nie darmo wyszli ze szkoły socjalistycznego żydowstwa: **zrozumieli w całej pełni wartość t. zw. “legend” czyli świadomych łgarstw i oszustw** — i tę metodę stosowali na każdym kroku. Była to rozbijająca bezwstydem, na ciemny motłoch obliczona autoreklama i bezczelne, gołosłowne oszczerstwo względem przeciwników\*). Nie chcę tu wspominać nędznych psiaków reżymu w guście pyskatego Miedzińskiego lub kandydata do kryminalu w rodzaju Stpiczyńskiego; niech świadczy **“sam” “ten, który”** . . . Wybieram fakty na chybił-trafił, z pamięci, bez pretensji wy-czerpania listy:

1) W r. 1914 wystąpił Piłsudski w imieniu **“Warszawskiego Rządu Narodowego,”** wiedząc, że żaden taki rząd nie istnieje.

2) Rokosz majowy rozpoczął się do **“zamachu”** na życie rodziny Piłsudskiego: **typowa prowokacja w stylu carskiej “ochrany,”** bo zamachu takiego wcale nie było.

3) W wywiadzie, udzielonym Miedzińskiemu, zarzucił Piłsudski **“więźniom Brzeskim” kryminalne**

\*) Por. M. Zdziechowski: **“Sprawa sumienia polskiego.”** Wilno 1927, a także **“Słowo”** z dn. 29. XI. 1927.

występki, czego proces nie potwierdził, ani nawet o tym wspominał.

4) W swej mowie senackiej oskarżył Piłsudski ministrów spraw wojskowych, swoich poprzedników, o trwonienie państwowych funduszków na hulanki z dziewczętami, a gdy sejm zażądał dowodów, został rozwiązany.

Są to fakty ogólnie znane i stwierdzone, którym nikt uczciwy zaprzeczyć nie może: a takie postępowanie jest łgarstwem i oszczerstwem; za to ostatnie "w przyzwoitym towarzystwie" pluje się w buzię i spuszcza ze schodów. I na to nikt nic nie poradzi, — nie pomoże ani grobowiec w krypcie Wawelskiej, ani kopiec na Sowińcu, ani nawet honorowa straż hitlerowska.

Równolegle — jako cenne uzupełnienie—wprowadzili piłsudczycy zwyczaj niszczenia dokumentów, niemych świadectw prawdy. Kiedy generał Roja objął w 1918 r. władzę w Krakowie, to pierwszą jego troską było zwieść na podwórze Straży Ogniowej całe archiwum N. K. N.-u, oblać je naftą i spalić; kiedy pułkownik Sławek rozwiązał osławiony Bezpartyjny Blok, to polecił wszędzie spalić archiwa tej bezpartyjnej kloaki.

Strasznie wstydlivi ludzie ci panowie piłsudczycy! . . .

Dochodzi do tego bezwzględne tłumienie i gnębienie prawdy. Gdy piłsudczycy dorwali się do władzy, ustanowili cenzurę, wobec której ustawy prasowe państw zaborczych były szczytem wolności i tolerancji. Na dobrą sprawę nie obowiązywało pod tym względem — jak zresztą pod wielu innymi — żadne — prawo; prasa niezależna została wydana na łup samowoli władz administracyjnych, reprezentowanych wyłącznie przez "swo-

ich” ludzi. Konfiskaty, zawieszenia, zamykanie drukarni — oto ich metody walki; w ostatecznym wypadku **“nieznani sprawcy”** mogli zawsze zdemolować redakcję i zniszczyć maszyny drukarskie.

Naturalnie, nie wszystko dało się ukryć: od czasu do czasu pękał ze smrodliwym trzaskiem jakiś grubszy skandal; to i owo można było wyczytać **“między wierszami”** artykułów dziennikarskich, przemówień sądowych i sejmowych; czasem zabłąkała się w tajemnicy kolportowana ulotka nielegalna, to znów krążyły plotki, na ucho szeptane. Było ich mnóstwo, za każdym pobytym w Warszawie opadał mnie rój coraz to nowych i coraz obrzydliwszych, świadczących o **niewiarogodnej deprawacji i upadku moralnym “sfer rządzących.”** Ile w nich było wymysłu, ile przesady, a ile **“rzeczywistej rzeczywistości”** wedle wyrażenia profesorskiego błazna? . . . .

**Jakie to oświadczenie** złożył Pilsudski w Magdeburgu władzom niemieckim? — **Jaki to list napisał do Witosa** w krytycznych dniach 1920 r. list, w którego poszukiwaniu policja wiele lat później cały dom Witosa przetrząsnęła? — **Jakie to oświadczenie** usłyszały z ust Piłsudskiego delegacje Lwowa i Śląska na ich prośbę o pomoc? — **Jak doszło do rokoszu majowego?** — **Jak został zamordowany generał Zagórski\*)** — **Jak finansowano kilkakrotne wybory** — **Jak wyglądała słynna “afera drożdżowa”?** — **Kto zapewnił paru żydowskim fabrykom monopol na wyrób drożdży** po horrendalnie podwyższonych cenach, kto za to wziął łapówkę i ile?\*\*) —

\*) Por. “Słowo” z dn. 12. VIII 1927 r.

\*\*) Por. “Dziennik Wileński” z dn. 11 września 1937 r. Nr. 250.

Co zeznałaby Parylewiczowa przed sądem, **gdyby jej w więzieniu nie otruto?** — A plugawie-skandaliczna afera “erotyczna” premiera Bartla z p. Hołówkową i równie **plugawe małżeństwo prezydenta Mościcio** — i tyle innych ohydnych skandali obyczajowych, od których się roi w “sferach rządzących” . . . A zatuszowana **defraudacja wojewodziny Kirtiklisowej w Wilnie?** — A złodziejsko-bandyckie rządy **wojewody Kirtiklisa** na Pomorzu z szajką kryminalistów, zamianowanych starostami?\*\*\*) — **A Towarzystwo “Rozwój”,** którego działalność zawieszono, a majątek rozkradziono do spółki z żydami? — A sprawa łuszczarni ryżu braci Mazurów (żydów) z jej **miljonowymi na szkodę skarbu państwa nadużyciami,** tak gracko i nieoczekiwanie zatuszowana: czy to prawda, że prezydentowa Mościcka miała poważny udział w tym przedsięwzięciu? — **Dlaczego to żydzi** głosowali masowo na kandydata “antysemickiego” Ozonu w Wilnie, — **ci sami żydzi, którzy teraz na ulicach Wilna opluwają i policzują rannych żołnierzy polskich** — **Czy to prawda,** że p. Michał Mościcki, nasz “książe talji i kantu,” przegrał w Tokio w karty milion złotych, i że ten “dług honorowy” opłacono z podatkowych pieniędzy, które ściągano, sprzedając często chłopu ostatnią krowę? — **Z jakiego to powodu minister Beck,** podówczas członek Polskiej Misji Wojskowej w Paryżu, został na żądanie marszałka Foche’a wydalony z granic Francji? — Szy prawdą jest, że żonę tegoż ministra Becka przyłapano na szmuglowaniu dewiz i złota za granicę? — **Co działo się w resorcie naszego lotnictwa pod rządami gen. Rayskiego?** —

\*\*\*) Por. “Dziennik Wileński” z dn. 15. VI. 1937 r. Nr. 162.

**Co za anonimy o "latających trumnach" pisał major Kubala i dlaczego chwycił się aż tak ryzykownego środka? — Czy odpowiada rzeczywistości powszechnie znana i szeroko kolportowana pogłoska, że wspomniany szef naszego lotnictwa wojskowego został parę miesięcy przed wybuchem wojny rozstrzelany za zdradę i sabotaż? — A jak to było z tym "zamachem" na pułkownika Koca? — A owe zaległości podatkowe Śląskiej "Wspólnoty Interesów" i innych przedsiębiorstw, które znalazły się w kasie partyjnej "Bezpartyjnego Bloku?" — A jak to było z milionowym subsydyjum rządowym dla bankrutującej "Adrji," luksusowej spelunki rozpusty, utrzymywanej przez żydów w Warszawie? — Co stało się z sumami uzyskanymi z podatku za przemiał zboża? . . .**

Dodajmy do tego rozmaite stowarzyszenia i subsydyjowane związki sanacyjne, gdzie raz za razem wybuchały drobniejsze próbki cuchnących skandali, gdzie w przystępie irytacji wyrzucano sobie nawzajem kradzież i trwonienie milionowych sum; słynne na całą Polskę procesy starostów-defraudantów i naczelników Izb Skarbowych, którzy latami ukrywali swe nadużycia metodą popijachy i łapówki, — procesy, podczas których skwapliwie wyłapywano siecią kodeksu drobne płatki złodziejskie, nie odważając się tknąć szczupaków i rekinów "skarbobokradztwa," wreszcie owe kartele, rady nadzorcze, kuratorstwa, przymusowe nadzory, kumulacje lukratywnych posad i wszelkiego rodzaju fundusze dyspozycyjne, wyłączone z pod wszelkiej kontroli: ileż było tego paskudztwa, wszędzie, na każdym kroku! . . .

Takie pytania można stawiać setkami, — nie! tysiącami,—bez najmniejszej przesady — tysiącami,



bo nie było miasteczka, nie było wsi, gdzieby nie grasowała bezkarnie szajka **“prorządowych” złodziei**; ale o tym nie wolno było pisać, ci, którzy opowiadali, prosili o dyskrecję. Błądziliśmy w ciemności i zaduchu, grzęznąć po kolana w czymś lepkiem i paskudnym . . . **Cały kraj pod rządami Piłsudskiego i piłsudczyzny zmienił się w ogromną spluwaczkę, w monstrialną muszlę klozetową nie zmywaną w ciągu kilkunastu lat.**

Pewien prorządowy publicysta porównał ongiś piłsudczyków do **uskrzydłonych wszy**, które mają zwyczaj skupiać się dokoła swego wodza. Proroczo trafne porównanie, nie odrazu w całej pełni rozumiane. Bo że wszy, na to była powszechna zgoda wszystkich rozsądnych i uczciwych ludzi; ale skąd uskrzydłone? Teraz i to stało się jasne: bez skrzydeł niepodobna tak prędko zwiać do Rumunji, **uskrzydłone wszy, skupione dokoła marszałkowskiej arcy-wszy wąsatej . . .**

## VI

**U**WZGLĘDNIAJĄC te zastrzeżenia, pragnę z lotu ptaka rzucić okiem na życiorys Piłsudskiego, usiany rzekomo wiekopomnymi zasługami dla narodu. Widzę w nim trzy wyraźnie odcinające się okresy: **jego rewolucyjna działalność** w latach przedwojennych; **wojna światowa i pierwsze lata niepodległości** aż do maja 1926 r.; wreszcie **rokosz majowy, absolutne rządy marszałka**, a potem spadkobierców jego **“ideologii”** aż do ostatniej katastrofy reżymu i państwa.

Pierwszy rozdział tej powieści o **“bajecznej karierze”** pomińmy wspaniałomyślnie. **Bandytyzm** — polityczny czy zwyczajny, a oba te rodzaje splatały

się ze sobą nierozzerwalne — i bratobójcze walki na ulicach Łodzi — to **zbyt ryzykowne tytuły** do “zasług i wielkości.” Warto jednak podkreślić kilka momentów, z których współcześni nie zdają sobie sprawy lub są fałszywie poinformowani.

1) Na tle swej epoki Piłsudski nie był zjawiskiem niezwykłym i oryginalnym. **Typ niedokończonego studenta — próżniaka, politycznego marzyciela i socjalistycznego bombiarza — rewolucjonisty** był w ówczesnej Rosji czymś bardzo pospolitym.

2) Działalność PPS wygląda żałośnie i ubożuchno w porównaniu ze współczesną akcją rosyjską rewolucjonistów. Zabito paru stójkowych i Bogu ducha winnych żołnierzy, dwóch czy trzech policmajstrów, zrabowano kilka kas, wywołano kilka bezsensownych demonstracji, których ofiarami padali przeważnie spokojni przechodnie — **oto cały plon i cała “zasługa.”**

3) Sam Piłsudski bardzo rzadko i ostrożnie angażował się w akcje bojowe, jak to stwierdzili jego socjalistyczni towarzysze broni (Kwapiński i in.), przeważnie stał z tyłu i **innych** posyłał **“na robotę.”** Długi czas bawił za granicą i w Krakowie w zupełnym bezpieczeństwie.

4) Rewolucyjna działalność w carskiej Rosji nie była połączona ani w przybliżeniu z tak wielkim ryzykiem i nie wymagała bynajmniej takiej determinacji, jak to sobie poczciwi ludziska dziś wyobrażają. Policji było mało, stosunkowo parokrotnie mniej, niż w naszej “demokratycznej” Polsce; przestrzenie olbrzymie, swoboda ruchów — zupełna. O takim skrępowaniu jednostki, jakie mamy dziś w Rosji Sowieckiej lub w Hitlerowskich Niemczech, a nawet jakie było u nas, w “sanacyjnej” Polsce, — wtedy nikt nie miał wyobrażenia. Politycznych

więźniów traktowano naogół dość łagodnie i karano nieraz zdumiewająco lekko. Na osławionej Syberji niejeden "polityczny" robił dobre interesa i żył jak u Pana Boga za piecem. Egzemplum: pan Sieroszewski Wacław, prezes PAL-u, onże plagjator literacki, dostojnik sanacyjny i chwalcza Berezy; nic mu Sybir nie zaszkodził, zwiedził przy tej okazji kawał świata, żył w dobrobycie, dostał nawet jakieś stypendjum i wrócił po pewnym czasie pulchny jak bułeczka wielkanocna. **To nie nasza Bereza Kartuska**, tamby posadzić takiego 'bojownika za wolność', niechby pokosztował, jak to smakuje! Tak safandulsko-ojcowskim rządem, jak carat, można dziś straszyć tylko małe dzieci poniżej sześciu lat, a nasza "martyrjologiczna" literatura wygląda dziś wprost kompromitująco, tak że możnaby jej z powodzeniem używać jako reklamy rządów carskich.

Sam Piłsudski pisze o swoim więzieniu na Syberji jak to "polityczni" mieli przez cały dzień otwarte cele, odwiedzali się wzajemnie, schodzili się razem, gawędzili przy herbacie, grali w szachy; a kiedy naczelnik więzienia postanowił ich odseparować i zamknąć w pojedynczych celach, to zbuntowali się w zbiorowej celi. Wtedy dopiero wezwano żołnierzy, którzy ich pobili i siłą porozmieszczali. Zaraz potem naczelnik więzienia przeraził się swej surowości czy też ewentualnych konsekwencji i przyszedł wraz z lekarzem odwiedzać poszkodowanych. Tego lekarza i naczelnika Piłsudski wyrzucił za drzwi! Dosłownie: kazał im się wynosić — i oni wyszli . . . **Niechby nasz więzień na Łukiszkach** próbował "wyrzucić" w ten sposób naczelnika więzienia! . . .

Inny rewolucjonista, Feliks Dzierżyński, zbuntował "politycznych" w jednym z pawilonów mo-

skiewskiego więzienia: rozbrojono straż, zabarykadowano drzwi, wywieszono czerwony sztandar i ogłoszono "socialistyczną republikę," która trwała całe trzy dni. Na czwarty dzień przyjechał z Petersburga jakiś dygnitarz, wdał się z buntownikami w pertraktacje i skłonił ich do "kapitulacji" pod warunkiem zupełnej bezkarności. Warto nadmienić, że ten dygnitarz dostał od rządu centralnego order za tak rozsądne i humanitarne zlikwidowanie rozruchów więziennych.

A teraz, żeby nie szukać daleko, porównajcie z tym normalny reżym naszych polskich więzień, gdzie przestępców politycznych mieszano razem z pospolitymi kryminalistami, i pomyślcie, jak postąpionoby u nas z takimi aresztantami. A cóż dopiero nasza Bereza Kartuska, gdzie wysyłano ludzi **bez sądu, a często bez winy**, gdzie systematycznie ich głodzono, kazano spać w nieopalonych izbach na gołych deskach; gdzie **codziennie i regularnie** oprawcy bili ich po głowach gumowymi pałkami, dręczyli "gimnastyką," **katowali i poniżali w ohydny sposób** (np. stając butami na piersiach): gdzie była przeznaczona dla każdego więźnia minuta, w czasie której musiał się wypróżnić, czy chce czy nie chce. Pomyślcie o tych tłumach patriotycznej młodzieży, jakimi zapełniono Berezę, i z których wielu zdrowiem, a nawet życiem przypłaciło ten pobyt, to może zrozumiecie, **ile zakłamanego fałszu, bezwstydnego blagi i plugawej autoreklamy** kryje się w tym porbrękiwaniu sybirskimi kajdanami panów **Piłsudskich, Sieroszewskich, Sławków, Prystorów** i całej "wszarni uskrzydłonej."

UWAGA: O Berezie Kartuskiej mam informacje bezwzględnie wiarygodne i autentyczne: kilkanaście niezależnych, a najzu-

pełniej zgodnych relacji. Piłsudczyzna, rzecz prosta, wypiera się tego w miarę możliwości, tak samo jak pan Sławek uroczyście i publicznie, z trybuny sejmowej, zaprzeczył faktom znęcania się nad więźniami Brzeskimi. Jak zobaczymy, cynicznie-tchórzliwe łgarstwo jest istotą piłsudczyzny: na łgarstwie wyrosła, z łgarstwa piła soki. Specjalnie pan Sławek, najbliższy współpracownik "wielkiego marszałka," zasłużył w całej pełni na tę "mówkę pogrzebową," jaką wygłosił pewien robotnik na wieść o jego samobójstwie: "jednego skurwysyna mniej."

## VII

**P**RZECHODZĘ do drugiego okresu: wojna światowa, legjony, pierwsze lata niepodległości... To jest właściwa "legenda," którą tak wspaniale umiano zdyskontować.

### **Zacznijmy od ustalenia faktów.**

Piłsudski zebrał kilka tysięcy młodzieży i w porozumieniu z rządem austriackim stworzył pierwszy legjon. Dnia 6-go sierpnia wysłał pierwszą kompanję na pole walki. Przyszli "wskrzesiciele Polski" z "genjalnym" — tak! już wówczas, — komendantem na czele przekroczyli opuszczoną granicę rosyjską, gdzie w bohaterskim porywie wrócili parę słupków granicznych, "szturmem zdobyli Miechów" (nagłówek w żydowskiej "Nowej Reformie"), gdzie nie było ani jednego żołnierza rosyjskiego, stoczyli "krwawą potyczkę" pod Małogoszczą, gdzie zdybali dwóch zapóźnionych kozaków, wreszcie zajęli Kielce, skąd "brawurowym a-



takiem” wyparli patrol ułanów rozyjskich w sile dwunastu, a może nawet piętnastu koni.

W Kielcach zatrzymali się na dłuższy postój — i tu rozstrzygnął się ich los. Bo taka błazenada powstańcza była w nowożytnej wojnie niedopuszczalna i niemożliwa do utrzymania na dłuższy dystans. Rząd austriacki wziął legion na swój koszt, dostarczył broni, odzieży; oficjalnie był to oddział “landsturmu” austriackiego z polskimi orzełkami na czapkach. “Komendanta” Piłsudskiego zamianowano brygadjerem. Wzamian za to legjoniści musieli złożyć przysięgę na wierność. Nie obeszło się przytem bez oszustwa: legjoniści przysięgali niejakiemu Franciszkowi Józefowi 1-szemu, cesarzowi Austrii i królowi polskiemu . . . Co to była za osobistość, historia nie zdołała jeszcze wyświecić podobnie jak nie odszukano mitycznego “Rządu Narodowego,” w imieniu którego Piłsudski działał. Odtąd weszły legjony w skład armji austro-węgierskiej, jako mała samodzielna jednostka bojowa i dzieliły z nią dobre i złe koleje wojny.

Oto suche fakty. Trzeba zaiste nielada kunsztu “bujania” i koloryzowania z jednej, a wrodzonego głęboko talentu do bezkrytycznego samoogłupiania się z drugiej strony, żeby z tego materiału zrobić Homerycką legendę. Była to jedna z prób powstania, wyglądająca mniej wzniosle, niż inne ze względu na sojusz z Niemcami, poza tym chybiona w zarodku, poroniona już w pomyśle, która nie dała żadnych, najskromniejszych nawet rezultatów. Można sobie doskonale wyobrazić cały tok dziejów wojny łącznie z odzyskaniem niepodległości, a bez legjonowej farsy powstańczej. **Wmawiać w ludzi, że to legjoniści odzyskali niepodległość i żądać dla nich z tego tytułu wyjątkowych przywilejów w odro-**

dzonej ojczyźnie, to trzeba sporej dozy czelności urodzonego i zawodowego hochstaplera.

## VIII

**W** czym tkwi „wiekopomna zasługa” legjonów? Czego dokazali, czym się odznaczyli? **Spróbujmy raz wreszcie trzeźwo i rozsądnie odpowiedzieć na te pytania**, korzystając z tego, że panowie cenzorzy i „nieznani sprawcy” niesławnie zrejterowali z placu lub pokryli się, jak myszy w norach. **Raz wreszcie trochę prawdy! . . .**

A więc . . . legjoniści poszli na wojnę jako ochotnicy. Ależ, mocny Boże, kto wtedy nie szedł na wojnę?! Cała Europa była zmobilizowana. W Niemczech zgłosiło się z górą dwa miliony ochotników, Anglja przeszło dwa lata prowadziła wojnę wyłącznie ochotniczymi wojskami. Toż to nie dziw i nie tytuł do wyróżnienia, że młodzież garnie się na wojenkę: tak było i będzie wszędzie i po wsze czasy. **Nie Piłsudski nas tego nauczył, to chyba każdy przyzna.** Nie dowodzi to zresztą ani patriotyzmu ani jakichś głębszych uczuć. Ot, w tym samym Krakowie, gdzie sformowały się i skąd wyruszyły legjony, zdarzył się taki znamieny wypadek.

Po wybuchu wojny włosko-tureckiej w 1910 czy 11-stym roku **“Krakowski Kurjer Codzienny”** zamieścił z błazeństwa takie ogłoszenie: **że rząd Turecki werbuje ochotników do wojny z Włochami i że zapisy przyjmuje redakcja “Kurjera.”** I co powiecie? W ciągu dwóch godzin, zanim komisariat policji wydał zarządzenie konfiskaty tego bzdurstwa, **zgłosiło się zgórą dwieście osób!** Dwustu ochotników do wojny z Włochami po stronie Turków w Trypolisie! W ciągu dwóch godzin! Oto macie go-

towe legjony — i to legjony, wierzajcie, w swej wewnętrznej wartości mało co różne od legjonów Piłsudskiego.

Nie były one jednolite, w ich skład wchodziły różnorodne elementy. A więc przede wszystkim **“elita”** — dawna **“brać strzelecka,”** która stanowiła kadry oficerskie i podoficerskie. Był tu niewielki stosunkowo procent ideowej młodzieży, wychowanej na patriotycznej literaturze: dalej — robociarze z pod znaku nie tyle Marxa, co Daszyńskiego, wraz z nieodłącznymi od nich żydkami, w których ocknęły się Machabejskie instynkta; wreszcie — i to było gros korpusu — ludzie tak czy owak wykolejeni, nie umiejący sobie znaleźć miejsca w społeczeństwie. A więc: żelazny **“akademik,”** studjujący dziesiąty czy jedenasty rok swoje prawo, który złał się kilkakrotnie na pierwszym historycznym egzaminie i nie mógł przeskoczyć na II rok studjów; uczeń, wydalony z pięciu po kolei gimnazjów i obu szkół realnych Krakowa za włóczenie się z prostytutkami, pijaństwo i nieuctwo; podobnego pokroju robotnik, wyrzucony ze wszystkich fabryk; terminator, który uciekł od szewca; nieokreślonego zajęcia **łobuzerja i chuliganerja miejska.** To był **“sztok,” “elita,” “arystokracja,” “śmietanka” legjonowa.**

Z chwilą wybuchu wojny zapełniły się kadry falą ochotników, których świczono byle jak i włączano do szeregów. Znalazł się tu również pewien procent t. zw. **“ideowej młodzieży,”** to jest studentów i uczniów często małoletnich, którym, rzecz prosta, podobała się wojenka więcej, niż szkoła; było trochę przyzwoitych robotników, rzemieślników i włóścian; ogromną jednak większość stanowiły męty społeczne, krakowskie **“andrusy”** z Krowodzy i

Łobzowa, wadowickie łąziki, szlifibruki i wydrwi-grosze najmizerniejszego pokroju, którzy nie mieli co z sobą począć, aż do **nożowników** podmiejskich i **złodziejaszków** napół-zawodowych włącznie.

Gdyby mi ktoś wówczas, kiedym patrzył na tę zgraję, maszerującą przeważnie w cywilnych często przedwojennie zawszonych łachmanach, wyśpiewującą (obok "Rozmarynu" i "Madziara") plugawie-sprośne piosenki, bijącą się przy okazji po pyskach w obecności swych "podwładnych" (autentyczne)— gdyby mi ktoś wówczas powiedział, że z **tego niemal wyłącznie środowiska** będą się rekrutowali w **przyszłej niepodległej Polsce** najwyżsi dygnitarze cywilni i wojskowi, którzy będą rządzić krajem wszechwładnie i bardziej absolutnie, niż car rosyjski . . . gdybym coś podobnego wówczas usłyszał, to zacząłbym chyba wołać o pogotowie ratunkowe: albowiem byłbym przekonany, że owego "ktosia," wygłaszającego takie absurdy, dotkliwie pokąsał przed miesiącem wściekły pies.

Dorzućmy do tego jeszcze i to zastrzeżenie, że owa "ochotniczość" legionistów budzi poważne wątpliwości. Ogromna ich większość rekrutowała się z zaboru austriackiego — i ci wszyscy mieli do wyboru **legjony lub armję** austriacką. Mieli dobry węch, wybierając legjony: zrobili się tanim kosztem ochotnikami i bohaterami, dosłużyli się wysokich rang, a wojowali o dwa lata krócej. Nieliczni pochodzący z zaboru rosyjskiego, stanęli przed dylematem obozu koncentracyjnego pod Linzem lub służby w legjonach: także niewielka ofiara, "na ołtarzu ojczyzny." Pozostali chyba ci małoletni, którzy do wojny jeszcze nie dorośli, ale tych było nie tak znów wiele. **Zabór pruski zgoła nie dostarczył kontyngentu** — i to rys bardzo charakterystyczny.

Przymierze i współdziałanie z Niemcami uważano tam powszechnie za szaleństwo i niepoczytalność polityczną — i słusznie, jak dowiodły późniejsze wypadki. **Ale żydzi, ci znaleźli się w legjonach, i to w dość pokaźnym odsetku.** To szczególnie jeszcze bardziej charakterystyczny, wart zakonotowania i rozważenia. **Nigdy nie zaszkodzi pomyśleć trochę . . .** Gdy raz wypowiedziałem te uwagi w obecności pewnego legionisty, ten oburzył się przewielebnie:

— “Proszę pana! — wykrzyknął, — “Czy pan wie, że myśmy szli na wojnę w tym przeświadczeniu, że Moskale będą nas wieszać albo rozstrzeliwać, gdy dostaniemy się do niewoli?”

Oto argument “po formie,” co się zowie! Narobili sobie chłopaczki sami strachu i to sobie też każą liczyć za “zasługą.” Było to, rzecz prosta, czyste urojenie. Rosjanie mieli ważniejsze troski na głowie, niż interesowanie się paroma tysiącami drapichróstów Piłsudskiego, których do samego końca nie odróżniali od żołnierzy austriackich. Nie wyróżniały się też niczym legjony od innych formacji tej lichej naogół armji, męstwem i brawurą wojenną także nie. **To trzeba wreszcie podkreślić z naciskiem.**

To, co piszą o tym Piłsudski i nasza “urzędowa,” “usanowana” “historja,” jest mało przekonujące: jakieś walki o jakiś lasek, potyczki na jakiejś górze, ataki odwroty—to są zwyczajne, nudne dzieje każdej wojny, to samo możnaby napisać o każdym pułku. To mało komu może zaimponować, miejscami zaś owa chwamba zgoła zakrawa na humorystkę.

Tak naprzykład, gdy Piłsudski na dowód, że “byliśmy dobrymi żołnierzami,” przytacza fakt, że późniejszy generał Orlicz-Dreszer wpław przepłynął się przez Wisłę! . . . Z tą Wisłą, co prawda, bywa rozmaicie. Czasami, zależnie od miejsca i pory roku,



można ją przejść wbród; ale można się też utopić, to nie ulega kwestji. Kiedy się słyszy takie gawędy, a potem bierze się do ręki suchą, nawskroś rzeczowo-statystyczną relację generała Petain o bojach pod Verdun'em, gdzie tysiące ton stali waliło się na okopy, to mimowoli przychodzą na myśl scenki rodzinne, kiedy to dobra mama chwali swego pieszczocha: "Zuch nasz Kazio, dzisiaj sam wrócił z ochronki i majteczki wieczorem miał zupełnie suche!"

Nie chcę przez to powiedzieć, że legjoniści nie spełnili swego obowiązku żołnierskiego; twierdzą tylko, zgodnie z faktycznym stanem rzeczy, że **była to szara przeciętność**, ot, wróbelki, ale żadną miarą nie feniksy, ani rajske ptaki. Ale i tego nawet nie można odnieść do wszystkich.

Pozostaje fakt, stwierdzony kilka lat po wojnie przez austriackie ministerstwo wojny na podstawie archiwalnych badań, że w całej, zarażonej nagminnie plagą "markiranctwa" armji austriackiej legjon "Piłsudskiego" trzymał pod tym względem prym, był najbardziej "markiranckim" oddziałem. **Podobno na 5500 bagnatów w polu 6000 "bohaterów" "dekoowało się" na tyłach.** Nie dziwota, że tylu ich wróciło z wojny cało i zdrowo, a co najgorsze, z doskonałym apetytem: w ciągu kilkunastu lat pożarli tę rzekomo przez nich odzyskaną ojczyznę, tak jak świnia pożera czasem własne dzieci.

## IX

**T**EN apetyt to oni mieli oddawna. Dowodem tego plugawa i płaska "**Pierwsza Brygada,**" najdumniejsza pieśń polska," zdaniem Piłsudskiego. Ciekawe, co ten człowiek rozumiał pod słowem "duma." Bo ja osobiście żadnej dumy w tej pieśni nie mogę

się dopatrzeć. Jest tam tylko mocno smarkatowata gorycz i szczeniacka pretensja do społeczeństwa, że niby nie ma dość współczucia dla tych, co “rzucili na stos swój życia los.”: tak jakby to było wówczas czymś nadzwyczajnym i niebywałym, i jak gdyby społeczeństwo nie miało i nie powinno było mieć ważniejszych trosk i zagadnień na głowie, niż “los życia” szczeniakerji z pierwszej brygady.

Na razie było to wyrażone delikatnie, “poetycko” chodziło, lepszego nie miało do dawania. Ale nadszedł czas niepodległości i wtedy “śpiewak zstąpił z hymnu do prostej powieści.” Nie “**żale i łzy,**” ale **posady, pensje, dygnitarstwa, ordery, luksusowe auta zagranicznej marki, drogie winka i koniaczki, ładne baby, Monte Carlo i Haicable, własne wille, fundusze dyspozycyjne i reprezentacyjne, Oazy i Adrje** — oto jaki rachunek wystawili społeczeństwu jako zapłatę swych zasług i nie zawahali się pod tym hasłem podnieść buntu wojskowego przeciwko legalnej władzy! . . . A apetyt to oni mieli, psiakrew, co za apetyt! Najskromniejszy starczył za dziesięć świń.

## X

**U**ZASADNIALI swą uzuparcję tym, że oni “**wy-walczyli niepodległość,**” że “**im Polska nie dostała się zadarmo,**” a swojego prowodyra nazwali “**wskrzescielem państwa.**” Czy można sobie wyobrazić **czelniejsze i głupsze łgarstwo?** Jeżeli można, to chyba z wielkim trudem.

Legjony — powtarzam — nie dały żadnego pozytywnego rezultatu. **Skończyły się w Sławkowie, w Marmarosz-Sziget i w Magdeburgu.** Gdy nadszedł moment niepodległości, Piłsudski i jego żołnierze byli więźniami Niemców, — “sojuszników,”

którym się wysługiwali. **Jakże mogli “wskrzesać państwo?”** — Na to nikt nie znajdzie rozsądnej odpowiedzi. Nic dziwnego, że wielbiciele marszałka w tym właśnie miejscu zamykają oczy i rzucają się głową naprzód w bajoro mętnych frazesów i załganym komunałów: a to, że **“marszałek rzucił hasło,”** że **“pobudził naród,”** że **“nauczył walczyć”** i t. p., tak, **jakbyśmy, Polacy, nie znali walki o wolność i dopiero Piłsudski musiał nas tego uczyć.**

Inni, nieco — pomimo wszystko — rozsądniejsi, dowodzą, że w tych warunkach trzeba było **“coś zrobić,”** choćby bezcelowo rzucać się, miotać, szastać się i ciskać, byle nie siedzieć cicho; **“działać”** za wszelką cenę **źle czy dobrze, ale “działać.”** Pan Cat-Mackiewicz wydrwiwa przeciwników **“czynu legionowego,”** że jakoby chcieli na czas wojny **“przycupnąć”** . . . Pan Mackiewicz, jak każdy człowiek, broniący beznadziejnej, bo złej i niesłusznej sprawy, operuje chętnie takimi określeniami — i to jego publicystyczne prawo; jego błąd tkwi w tym iż jest święcie przekonany, że takie **“dowcipuszki”** — to argumenta.

Otóż nie **“przycupnąć,”** ale **zaciąć zęby i trwać, oszczędzać sił i czekać na sposobność i porę odpowiednią do prawdziwego działania,** a nie wszczynać bezmyślną powstańczo — legionową bujdę, nie mającą żadnych szans ani widoków. Można wszak **“przycupnąć”** na to, aby zerwać się w odpowiednim momencie i z tym większą siłą runąć na przeciwnika. Tak, według arcydowcipnego wyrażonka szan. pana redaktora, **“przycupnęło”** na czas wojny **Poznańskie;** ale kiedy zerwało się w 1919 r., **to w dwa czy trzy dni zrobiło więcej dla Polski, niż pan Piłsudski i jego legioniści przez całe swe życie.**

Zdaje się, iż stanowisko zwolenników marszał-

ka w sposób najklasycyjnější sformułował p. I. Daszyński w swej serwilistycznej broszurze, wydanej po rokoszu majowym, gdzie na pytanie, **jak to uwięziony Piłsudski mógł wskrzesić Polskę**, daje odpowiedź: **“Marszałek uczynił to mocą swojego ducha.”** Bez komentarzy. Oto takie brednie fabrykuje i rozpowszechnia — i to nie byle kto — marszałek sejmu, długoletni wódz polsko-żydowskiego socjalizmu. Odnosi się wrażenie, że jesteśmy w szpitalu obłąkanych. Prawda, że tego chwalcę sam Piłsudski nazwał — później i z innego, rzecz prosta, powodu — **durniem**, — i słusznie. Z czego zresztą nie wynika, aby sam był choć na jotę od niego mądrzejszy. Daszyński się zrewanżował **“genjuszowi,”** że nim gardzi. Również było za co. **Kiedy się tacy dwaj pokłóca, to zawsze mają rację w tym co twierdzą.**

Prawda jest inna i niezaprzeczalna. **Polska zmartwychwstała na skutek klęski i upadku trzech państw zaborczych, a zwłaszcza Niemiec.** Bez tego, na to się chyba każdy dzisiaj zgodzi, nie można było marzyć o niepodległości. **A przecie do pogromu Niemiec Piłsudski w niczym się nie przyczynił,** na odwrót, pomagał im w miarę sił, na szczęście wielce ograniczonych.

W podobny sposób powstał szereg innych organizmów państwowych, jak Czechosłowacja, Litwa, Łotwa, Estonja — i obeszły się przytem bez **“marszałków” “wskrzesicieli,” “opatrznościowych męzów,” “tych, którzy” . . .** Dokonała tego światowa wojna, rozpętując monstrualne siły i zasoby połowy kuli ziemskiej i siejąc straszliwe zniszczenie: kilkanaście milionów ludzi przypłaciło życiem nowy porządek w Europie. Na tle tych tytanicznych zmagañ pan Piłsudski, **brygadjer z Bożej i austrackiej**

łaski, z paroma tysiącami improwizowanych żołnierzy wygląda niby ta mucha z bajki Kryłowa, siedząca na rogu wołu i pyszniąca się wszym wobec: **“my pachali”!** . . .

Trzeba być bardzo źle poinformowanym i bardzo upośledzonym umysłowo, albo **bardzo dobrze opłaconym**, żeby pozwolić w siebie wmówić coś innego.

## XI

**J**EŻELI — według znanego porzekadła — każdy żołnierz Napoleona nosił w tornistrze buławę marszałkowską, to każdy legjonista Piłsudskiego miał zaszytą gdzieś przy sercu nominację na ministra, wojewodę, lub dyrektora banku wraz z asygnatą na odpowiednie pobory służbowe. Były to w samej rzeczy nieustraszone zuchy, żadne obowiązki ich nie przerażały, byle dostać swe **“odszkodowanie za patryjotyzm,”** byle tylko pensyjka była dość wysoka, no i jakiś **“fundusik”** pod ręką dodatkowo, w razie potrzeby. Reszta się nie liczy, zrobi się jakoś.

A jak się robiło, tośmy widzieli na wojnie . . . . Zdaniem tych panów, Polska istniała tylko po to, aby opłacić ich zasługi: to im się należało za ich **“żołnierskie trudy.”** To przekonanie wypowiedali nieraz z otwartością, której bezgraniczny cynizm walczył o lepsze z bezprzykładną głupotą. Bo ostatecznie . . . jeżeli ktoś jest z woli Pana Boga nikczemnie-zachłanną kanalją, to powinien mieć tyle rozsądku, aby się z tym nie zdradzać.

Rzecz szczególna jednak, że tylko i wyłącznie ich **“trudy wojenne”** miały tak wysoką cenę. Bo przecie byli jeszcze inni, którzy też za ojczyznę walczyli. **Był Haller z Kaniowem i epopeją Murmańską.** Ten sam Haller stał we Francji na czele armji

blisko stutysięcznej, która po powrocie do kraju **jednym uderzeniem zlikwidowała irredentę ukraińską i zdobyła Małopolskę Wschodnią**. Proszę mi przytoczyć choć jeden jedyny "czyn" legjonów Piłsudskiego, któryby dał się porównać z tym sukcesem!

Mieliśmy naprawdę i bez cudzysłowu **bohaterką obronę Lwowa**: ale jej dowódca umarł w kompletnym zapomnieniu. **Mieliśmy powstania górnośląskie**, które dały nam bogaty okręg przemysłowy, "czarną perłę" naszych posiadłości: ale ich wódz i organizator, Wojciech Korfanty, był nieludzko katowany w Brześciu, musiał uchodzić z kraju, a gdy powrócił, uwięziono go znowu i wypuszczono niemal w godzinie śmierci: **tak to nagradzała wolna Ojczyzna prawdziwe zasługi!** Jeszcze nie zarosły dobrze trawą mogiły powstańców, a już komponowano historję powstań górnośląskich, w **której nazwisko Korfanteo nie było ani razu wymienione**: nie straszna jest 'odpowiedzialność' przed taką "historją!" Mieliśmy wreszcie wspaniałe w swym rozmachu i rezultacie **powstanie wielkopolskie**, jedyne w dziejach Polski powstanie przygotowane i wykonane należycie, które powinno stać się dla nas i dla przyszłych pokoleń wzorem i nauką . . .

Ale, czy mógłby kto uwierzyć? — **imiona organizatorów i przywódców tego powstania wogóle nie dotarły do wiadomości szerokiego ogółu**, nie nagrodzono ich i nie wyróżniono zgoła. To wszystko nie liczyło się, **zniknęło bez śladu wobec paru wywróconych słupków granicznych i "krwawej potyczki" pod Miechowem**. I ta prowincja poznańska, kulturalna i rządna, skąd pełną garścią powinniśmy byli czerpać ludzi na kierownicze stanowiska w kraju, została pod tym względem niemal całkowicie odsunięta i upośledzona. Tylko w rozmaitych



Jasłach, Krosnach, Samborach i Brzeżanach nastął urodzaj na "genjuszów" i "ministerjalne głowy;" a także w Oszmianie, Wilejce i Mejszagole, tam również, a jakże! Dyć to Galicja dała legjony, a na kresach wschodnich marszałek miał dość bogato rozgałęzioną rodzinę i sporo znajomków od serca: jakże ich nie porobić ministrami, to nawet nie wypada!

**Jeśli Piłsudscy mieli jakieś względem Polski zasługi, to już je utracili, i to oddawna.** Byli jak ci faryzeusze, modlący się na dachach swych domów na widoku publicznym, o których Chrystus mówi, że nie wejdą do Królestwa Niebieskiego, **bo swą nagrodę już tutaj wzięli.** A że wzięli, to wzięli! Każdą krople krwi (ze skaleczonego przy obieraniu kartofli palca), każdą kropelkę potu (przy mieszaniu kaszy w kuchni) kazali sobie suto opłacić. Spytajcie się "generała" i "ambasadora" Wieniawę-Długoszewskiego, ile krwi wylał, a ile wychlał winka, likieru i koniaczku z trzema gwiazkami za państwowe pieniądze! Było czym odrestaurować sobie krew, przelaną za ojczyznę! . . .

## XII

**WOJNA BOLSZEWICKA** — to pierwsza zbrodnia Piłsudskiego wobec narodu i państwa. Ta zabawka kosztowała nas około **400,000 ludzi** zabitych, rannych i inwalidów, zapłaciliśmy za nią **zniszczeniem przeszło połowy kraju** i byliśmy w jej toku o włos od utraty dopiero co odzyskanej niepodległości: **oto pierwsza rata rachunku** za luksus posiadania "**opatrnościowego męża.**" Bo wojna ta była zupełnie niepotrzebna. Bolszewicy pragnęli pokoju i za tę cenę gotowi byli oddać nam większe

terytorja, niż te, któreśmy uzyskali w pokoju Brzeskim.

Pomimo wszelkiej szacherki i zacierania śladów **jest faktem niezbitym i ustalonym, że wojnę tę sprowokował Piłsudski** wbrew woli sejmu i ogromnej większości narodu, czym wzburzył przeciwko sobie i Polsce opinię publiczną całej Europy. W ówczesnych warunkach kraju bez ustalonych granic, wygłodzonego, zmęczonego długoletnią wojną i okupacją, bez jednolitej armji, pozbawionego wszelkich środków i zasobów niezbędnych do prowadzenia wojny — świadome wywołanie bezcelowej i bezprzyczynowej wojny było zbrodniczą lekkomyślnością, graniczącą z obłądem. **Już to jedno starczyłoby w normalnym społeczeństwie, aby zdyskredytować Piłsudskiego i jego mafję raz na zawsze i nieodwołalnie.**

Co jednak powodowało Piłsudskim? Co pchało go w niepoczytalną awanturę? Naturalnie, tkwiły w tym daleko idące zamierzenia i fantastyczne plany: rozbicie Rosji, stworzenie niezależnej, a raczej "lennej" Ukrainy i Białorusi i inne jeszcze niedowarzone i chimeryczne, bo nie liczące się z siłami i z ewentualnymi skutkami tych przedsięwzięć pomysły; ale były to pozory. **Piłsudski był zbyt małym i ograniczonym człowiekiem**, aby wznieść się ponad sferę swych osobistych zainteresowań i ambicji. Kto wie, czy nie w sedno rzeczy trafia pewien artykuł ogłoszony w roku 1937, czy 1938-ym w "Kurjerze Wileńskim" przez jednego z bliskich "współpracowników" "wielkiego marszałka," — nie przypominam sobie już teraz z absolutną pewnością, kto to był: Świtalski czy który z Jędrzejewiczów, w każdym wypadku osobistość "sławna" i bardzo "zasłużona," a przytem najzupełniej wiarygodna, o czym

świadczy szczerą pólidjoty, z jaką to "wspomnienie" było napisane. Dla ludzi nieobznajomionych z panującą podówczas w Polsce atmosferą umysłową dodaję i to: że ten artykuł był w intencji autora i wydawców dziennika wyrazem **apoteozy marszałka, a nie, broń Boże, satyrą na jego osobę**. Nie moja wina, że trudno o złośliwszy pamflet. Posłuchajcie:

Opowiada autor, że gdy raz spytał marszałka o jego "koncepcję" kampanji bolszewickiej, ów pomilczał chwilę, a potem odezwał się w te słowa: **"Pewnego razu duch Napoleona postanowił obejrzeć szlaki swego pochodu na Moskwę. Wzbił się więc na skrzydłach i poleciał na daleką północ. W drodze zobaczył światółko w pewnym dworku, zniżył swe loty i ujrzał kołyskę, a w niej małe dziecię. Tym dziecięciem byłem ja."**

Oto była **"koncepcja wyprawy Kijowskiej"** . . . Nieprawdaż, znowu jesteśmy w szpitalu warjatów i słuchamy bełkotu obłąkanego megalomana? Ale to była **właściwa przyczyna wojny polsko-bolszewickiej**, oto za co płaciliśmy **setkami tysięcy trupów, przedłużeniem stanu wojny i rozgardjaszu o dobre dwa lata, przegranymi plebiscytami, utratą Śląska Cieszyńskiego**.

Tak, Piłsudskiemu wojenka się podobała. Wojna dała mu jego **"bajeczną karierę"**. Z socjalistycznego spiskowca, kryjącego się jak szczur w piwnicach, zrobił się **"brygadjerem"** (bądź co bądź—generalski "czyn"), potem kilku jego podwładnych z niewiarygodnego, a jednak prawdziwego zdarzenia **"generałów"** i **"pułkowników"** ofiarowało mu **"marszałkowską buławę"**, a oto teraz był **"naczelnym wodzem"**, rozjeżdżał własną salonką i roił sobie **fantastyczne plany** . . . .

Posłuchajcie, z jakim nabożeństwem deklinuje

w swych pismach tytuł **“naczelnego wodza,”** jak głęboko sam sobie tą rangą zaimponował. Nic dziwnego: miał na to stanowisko kwalifikacje takie, jak cielna krowa na bojowego rumaka. I jednego tylko nie może pojąć i to oburza go do głębi: że naród wojny nie chciał, że żołnierze nie wykazali nadzwyczajnej ochoty moknąć w okopach i dać się zabijać dla znakomitych fantazji **“naczelnego wodza.”** Żali się na to nieraz gorzko, ani podejrzewając, że już to jedno dyskwalifikuje go zupełnie jako dowódcę. **“Naczelný wódz,”** który nie umie swych żołnierzy natchnąć męstwem i odwagą, jest zerem.

Ale Piłsudski znalazł sobie inne wyjaśnienie: wmówił w siebie, że to on sam swoim genjuszem (tak, dosłownie!) wojnę wygrał i ocalił państwo. Całkiem naodwrot, niż było w rzeczywistości: zwyciężyliśmy wbrew wszystkim głupstwom i szaleństwom Piłsudskiego. Złożyło się na to kilka czynników, z których może najważniejszym była słabość militarna ówczesnej Rosji i błędy jej dowódców. Jeden z rzeczoznawców zachodnio-europejskich zaopiniował z okazji dziesiątej rocznicy tej wojny tak: **“Doświadczenia tej kampanji są zupełnie bezużyteczne; albowiem nie przewiduje się, aby w bliskiej przyszłości była prowadzona wojna, w którejby obie strony zrobiły tyle głupstw i błędów, co w tej.”** Tak, w następnej wojnie natrafiliśmy na innego przeciwnika. **I wtedy okazała się w całej pełni wartość bojowa i zmysł organizacyjny piłsudczyzny, a także jej zalety moralne.**

Trzeba to sobie jasno i szczerze powiedzieć: że ta kampanja 1920 roku nie była w całym tego słowa znaczeniu wojną, a już niewiele miała wspólnego z pojęciem nowożytnej wojny. Obie strony były tak wyczerpane, tak pozbawione środków bojowych,

operowano tak drobnymi siłami, walczone tak staroświeckimi metodami, że widowisko to nie zasługuje wcale na miano prawdziwej wojny. To raczej jakieś kawaleryjskie rejdy i przegony, podjazdowe potyczki, przypominające do złudzenia wojny XVII wieku lub chińskie zamieszki. W takiej "wojnie" "naczelnym wodzem" może być każdy, kto się obwiesi dostateczną ilością orderów i weźmie buławę marszałkowską, byleby miał trochę oleju i rozsądku w głowie. **Niestety, tego właśnie brakło Piłsudskiemu . . .**

Pamiętam moje zaskoczenie, gdy po raz pierwszy zobaczyłem bolszewickich żołnierzy. Była to zgraja obdartych patałachów, wzbudzająca swym wyglądem litość i śmiech pusty. Taki żołnierz był odziany w portki i bluzę ze zgrzebnego płótna, tak że wyglądał jakby był w bieliźnie,—i tak poniekąd było, bo bielizny nie mieli przeważnie. Większość szła boso, niektórzy bez czapek; karabiny na sznurkach, na plecach płócienna torba z nabojami i kawałkiem chleba. Wszystko to ciemne, niepiśmienne, wystraszone, gotowe w każdej chwili do panicznej ucieczki. Artylerji znikoma ilość, tanków i aeroplanów—ani na lekarstwo. Taka to była ta bolszewicka armja w 1920 r. Jak można było tę zgraję dopuścić pod Warszawę, Płock, Włocławek i Toruń? Do tego trzeba było być bez żartu i przesady **genjuszem** w swoim rodzaju, to jest do tak absolutnej nieudolności, takiego braku jakiegokolwiek planowości w działaniu i zmysłu organizacji, jaki cechuje chaotyczno-dyletańską umysłowość "wielkiego marszałka." Bolszewicy dowódcy, jakkolwiek również bardzo mizerni, przerastali go o głowę pod każdym względem.

Jeszcze jedno: w umyśle przeciętego Polaka przedstawia się ta wojna jako "**walka garstki na-**

szych z Moskali nawała.” Jes to wierutny fałsz. Bolszewicy mieli bardzo niewielką przewagę liczebną, kiedy gnali nas od Kijowa po Warszawę. Przystańmy tedy przechwalać się naszą “wygraną wojną,” — to więcej boli, niż śmieszy. Zostawmy to “naczelnemu wodzowi.”

#### XIV

**Z**DAJE się, że w słynnej kampanji bolszewickiej wiele szczegółów pozostanie na zawsze ciemnych i niewyjaśnionych. Zbyt wiele było już sporów i kontrowersji na ten temat, a piłsudczyzna zbyt długo miała wszystko w ręku: jej “historyczne metody” są nam dobrze znane. Co o tym piszą zawodowi i suto opłacani chwalczy marszałka, łatwo się domyślić; istniał i działał jeden tylko “naczelnny wódz”! **Sikorski, Haller, Rozwadowski, Weygand** — to tylko pionki, wykonawcy planów strategicznych “tego, który” . . .

Nieściskość tego przedstawienia rzeczy nie ulega najmniejszym wątpliwościom. **Całkowitą i bezsporną własnością Piłsudskiego była tylko wyprawa Kijowska.** Nie będziemy jej tu opisywać, ten punkt jest przesądzony ostatecznie i nie nadaje się do poważnej dyskusji: było to w swoim rodzaju arcydzieło indolencji strategicznej, bezmyślności i niedołęstwa, z dodatkiem dyletanckiego tupetu wojskowego analfabety. Zapytany o zdanie angielski korespondent wojskowy, odpowiedział krótko: że takich “generałów”, jak Piłsudski, niema już nigdzie poza granicami Chin.

Znaleźli się wprawdzie apologeci i tej koncepcji “naczelnego wodza”. Nie tak dawno jeszcze wygłupiła się w tej materji Pani Romer-Ochenkowska na



łamacz “Kurjera Wileńskiego”, powtarzając wymyślony zresztą przez jakąś “tęższą głowę” argument: że Piłsudski właśnie tą wyprawą ocalił Polskę, bo przez to zyskał na przestrzeni. Gdyby w tym tempie, co z pod Kijowa, zaczął zwiewać z tych stanowisk, jakie zajmował przed wyprawą, to bolszewicy doszliby do Poznania i Katowic, a nie do Warszawy . . . Oszczędzimy wspaniałomyślnie tego stratega w spódnicy, wszak obowiązuje kurtuazja wobec dam, od tego kodeks obyczajowy nie wyłącza nawet rozpyskowanych, sanacyjnych bab, mielących jęzorem na tematy, o których mają takie pojęcie, jak pluskwy o muzyce Bacha — dlatego pominiemy tę “argumentację” łaskawym milczeniem.

Wszystko wskazuje na to, że po sromotnej klapie Kijowskiej “koncepcji”, role zmieniły się diametralnie. Piłsudski załamał się **kompletnie i nie widział wyjścia z sytuacji**. Złożył dowództwo na ręce rządu, a chociaż powierzono mu je znowu, aby nie osłabiać ducha armji, to było to tylko czczą formalnością. W każdym razie na jakiś czas “naczelnym wódcz” przykucnął na boczek, jak pies uderzony po grzbiecie sękatym polanem — nie było go widać ani słyhać. Dowództwo na decydujących odcinkach frontu, gdzie trzeba było wytrzymać główne natarcie bolszewickiej ofensywy, sprawowali Haller i Sikorski; Piłsudskiemu powierzono najłatwiejsze zadanie — uderzenie od Wieprza w dziurę między bolszewickimi armjami, gdzie nie było prawie żadnych sił i gdzie nie napotkał niemal żadnego oporu.

Nie trzeba dodawać, że gdy tylko położenie się poprawiło, Piłsudski odzyskał kontenans i przy pomocy swej mafji usunął innych w cień i wypchnął się na czołowe stanowisko. Od tego on był “majster”, tego mu zaprzeczyć niepodobna. Wyraźniej, niż kie-

dykolwiek, objawiły się w tej wojnie znamienne rysy charakteru "wielkiego człowieka":

1) **Samochwalstwo**, iście kagucia próżność i pycha w powodzeniu. ("Doszedłem tutaj, mogę iść dalej, dokąd zechcę!" — oświadczył zagranicznym korespondentom w Kijowie na jaki tydzień przed początkiem panicznej ucieczki na całym froncie).

2) **Słabość i małoduszność** w niepowodzeniu, dochodząca do kompletnej prostracji. (Rezygnacja z dowództwa, oświadczenie, złożone rządowi, że "wszystko stracone". Może kiedyś jeszcze przeczytamy ów słynny list do Witosa!)

3) **Zwalanie na innych winy za swe błędy i głupstwa** ("Naród chory, armja chora") i przypisywanie sobie cudzych zasług.

4) **Kompromitujący go osobiście, ale przez niego również i państwo brak poczucia odpowiedzialności za swoje czyny i słowa.**

## XV

**D**RUGĄ zbrodnią Piłsudskiego był rokosz majowy. Ale ta sprawa przedstawia się w swej istocie jeszcze ciemniej niż poprzednia. Odnosi się wrażenie, że Piłsudskiego wciągnięto napół gwałtem w tę aferę, i że za jego plecami stały o wiele potężniejsze siły, z czego on sam nie zdawał sobie dokładnie sprawy. Bodaj że była to na terenie Polski dokonana rozgrywka między wpływami Francji z jednej, a Anglii popieranej przez międzynarodowe żydowstwo z drugiej strony. Chodziło o to, żeby utracić ostatecznie Narodową Demokrację i odsunąć ją od władzy: że tak będzie, żydzi amerykańscy przepowiedzieli Dmowskiemu na wiele lat naprzód. Wskazuje to na niezbity fakt, że po stronie rokoszu

stanęły odrazu i zwarcie **wszystkie partje i mafje, w których żydostwo gra pierwsze skrzypce**, a więc socjaliści, komuniści, masonerja wszelkich obrzędów, a nadewszystko — sami żydzi.

A oni wiedzą, co robią. “Legendy” — to oni **chętnie fabrykują, ale dla durniów**; sami umieją pilnować swego interesu. Ten krzykliwy, bezmyślny fanfaron, Plautowski “miles gloriosus”, próżny — jak rybi pęcherz — warchół, siejący wszędzie zamęt i chaos, ostatnio “opromieniony nimbem zwycięstwa”, był idealnym narzędziem w ręku zakulisowych, ciemnych sił. O tym samym świadczą skutki przewrotu: **niby ukryta, lecz bardzo realna dyktatura żydostwa w Polsce**. Piłsudczyźnie oddali żydzi zaszczyty i ordery, honory i tytuły, nawet dzielili się z nimi dość lojalnie tym haraczem, jaki ściągali ze społeczeństwa. Ale istotnej władzy im nie dali. Piłsudczyzna czuła to przez skórę i nigdy nie zaryzykowała żadnego wystąpienia przeciwko żydom. Jeśli w ostatnich latach swej plugawej vegetacji, już po śmierci swego wodza — za jego życia — nigdy! — czepiała się hasel antysemitycznych, to była to czysta dywersja, do której zmuszały ją nastroje społeczeństwa, “fałszywa gra”, “leguńskie bujanie” i “nabijanie w butelkę” łatwowiernych głupców, szczególnie tych swoich zwolenników, którzy nie wyzyli się jeszcze doszczętnie sumienia i poczucia honoru narodowego.

Była to **konkurencja, robiona endecji**, — i to konkurencja **nieuczciwa, obłudna, świadomie i celowo pozorna**. Nie zdziwiłbym się zgoła, gdyby dziś wyszło na jaw, że antysemitcy posłowie i projektodawcy antyżydowskich ustaw byli odkomenderowanymi i do tej roli wyznaczonymi pionkami, działającymi na rozkaz kliki rządzącej w ścisłym uzgod-

nieniu poglądów i metod działania z przedstawicielami żydowstwa. Zauważmy, że wszystkie ustawy antysemitki rząd utracił lub odkładał "ad Calendas Graecas" i obstawiał taką masą zastrzeżeń i kompromisowych uzupełnień, że w praktyce unieszkodliwiał je zupełnie. (Sprawa uboju rytualnego i ustaw antymasońskich).

Dalej, że "antysemicki" program Ozonu nie przeszkodził nigdy piłsudczykom dojść w razie potrzeby do cichego porozumienia z żydami, jak to było podczas ostatnich wyborów w Wilnie . . . Czyby — wspomnę mimochodem — nie było na czasie wynaleźć dla tego "Ozonu" jakąś odpowiedniejszą nazwę? Naprzykład "Siarkowodór". Bo ozon — to przecie gaz o przyjemnym zapachu, a nasz "Ozon" śmierdział gorzej, niż nieprzewietrzany klozet, gorzej, niż rozkładające się w gnojówce świńskie ściervo, bez mała tak . . . jak Bezpartyjny Blok.

## XVI

**R**OKOSZ majowy miał sporo swoich entuzjastów. Nie dziwota, niejeden się na nim dobrze obłowił. Taki smrodliwej pamięci pan Wojciech Stpicyński poszedł wysoko i zrobił też coś w rodzaju "bajecznej karjery", zamiast gnić w kryminale zgodnie z wieloma wyrokami sądowymi, jakie przeciw niemu zapadły. Mało tego, w odwet za to rzucił hasło "reformy sądownictwa" i w rezultacie powyrzucano tych sędziów, którzy się odważyli potępić sanacyjnego łobuza. Jakże taki szubrawczyzna mizerny mógł nie zachwycać się przewrotem? Argumenty takie czy owakie zawsze się znajdują . . .

A więc pierwszy argument, od którego przyczepiła się nazwa do całego prorządowego stron-

nictwa, że Piłsudski zwalczał nieprawości, które jakoby u nas istniały, i zamierzał przy pomocy buntu wojskowego przeprowadzić — sanację stosunków. Ale tu najwidoczniej zaszło jakieś . . . powiedzmy delikatnie — **nieporozumienie**: drobniuchne, plugawieński oszustewko, maleńki eskamontażyk pojęć. Mam przed oczyma tekst owego przemówienia Piłsudskiego do przedstawicieli rynsztokowej prasy w dniach przewrotu — i niema tam ani słówka o żadnych “nieprawościach”; natomiast czytamy: **Nie może być w państwie za dużo niesprawiedliwości**. Nieprawość i “niesprawiedliwość” — to brzmi dość podobnie, ale znaczy zgoła co innego. Dalszy ciąg przemówienia nie pozostawia najmniejszych wątpliwości co do sensu tego wyrażenia.

Piłsudski plecie tam swoje normalne banialuki — o “całym życiu poświęconym” i o swoich zasługach, za które nie otrzymał nagrody. **Nigdy i nigdzie ohydna prywata i łajdackie warcholstwo nie było wypowiedziane w sposób tak naiwnie-prostacki i gruboskórny**. Dopiero później “uratowano sytuację” przez zastąpienie niesprawiedliwości — “nieprawościami”, co zresztą brzmiało ni przypiął ni przyłatał, w zestawieniu z dalszym ciągiem przemówienia. (Bodaj że to wspomniany Stpiczyński oddał tę przysługę marszałkowi na łamach “Głosu Prawdy”.) Najzabawniejsze to, że Piłsudczycy wzięli na serjo te nieprawości i zaraz po rokoszcu ustanowili jakąś komisję dyscyplinarną — rodzaj **czerezwyczajki** — która miała badać owe “nieprawości” i bez litości karać ich sprawców.

Ogłosili to z wielkim hałasem, ale potem jakoś przycichli, wreszcie zamilkli wstydliwie i komisję zlikwidowali: okazało się, że **niema kogo i za co sądzić**. Owszem, aresztowano ze sto osób, głównie ze

sfer urzędniczych na podstawie rozmaitych donosów i anonimowych oskarżeń — i po zbadaniu zarzutów musiano ich zwolnić: były to zwyczajne oszczerstwa, — **żadnych nieprawości nie można było udowodnić . . . Nikomu!**

Ale, ale! . . . Prawda, znaleziono jednego złodzieja, był nim nie kto inny, jak **general Żymirski**, naturalnie piłsudczyk — legjonista, “barwny ułan” i “patentowany bohater,” podobnie jak wśród więźniów Brzeskich, którym Piłsudski zarzucił przestępstwa natury kryminalnej, był w samej rzeczy tylko jeden złodziej, **wójt Baćmaga**: ale ten należał do B. B., to był też jeden ze “swoich”. Obu wsadzono do kryminału **nie za to**, że kradli — w tym wypadku trzebaby umieścić za kratami trzy czwarte, jeżeli nie dziewięć dziesiątych piłsudczyków — **ale za to**, że “zdradzili” marszałka.

Dość przypadkowo i nieoczekiwanie powzięty program “sanacji” wykonał Piłsudski po swojemu, tak jak on wszystko wykonywał: **na miejscu jednego drobnego złodziejaszka posadził dziesięciu wielkich złodziei**. Ale złodziei swoich, sanacyjnych, wielbieli marszałka i czynu legjonowego. A jemu wszak tylko i wyłącznie o to chodziło. **To była jego “sprawiedliwość.”**

Nikt uczciwy nie zaprzeczy, że za rządów “sanacji” kradzież grosza publicznego, czerpanie ze skarbu państwa na cele partyjne i osobiste, rozmaite szachrajstwa i brudne manipulacje, wszystkie zresztą przewidziane przez kodeks karny łotrowstwa i zbrodnie rozpowszechniły się i wzrosły ilościowo, i jakościowo co najmniej dziesięciokrotnie w porównaniu z okresami “partyjnictwa”. **Wtedy w całej Polsce nie ukradziono tyle, co teraz w jednym tylko Ministerstwie Poczty i Telegrafów w ciągu krótkich sto-**



**sunkowo rządów Miedzińskiego.** I gdyby tak po śmierci Piłsudskiego ustanowiono taką "Komisję" do ścigania "nieprawości", to ta instytucja miałaby w ciągu dziesięciu lat pełne ręce roboty, a kryminały nie pomieściłyby nowych lokatorów.

Jak mogło być inaczej, **skoro przykład dał sam "wielki marszałek"**, gdy wbrew ustawom i przepisom skarbowym **poleciał wypłacić ze skarbu państwa siedm milionów złotych na wybory Bezpartyjnemu Blokowi**, do czego sam się przyznał publicznie. A to się nazywa "nadużycie władzy" i "defraudacja." Zwykłego urzędnika sadza się za takie sprawki do kozy. A moralność albo jest, ale wówczas jest jedna i ta sama dla wszystkich, albo jej wogóle niema.

**Czy panowie z pod znaku "sanacji moralnej" możecie to zrozumieć?** Oburzacie się, więc jeszcze nie rozumiecie lub udajecie, że nie możecie pojąć? Ułatwię wam to zadanie: **wyobraźcie sobie przez chwilę, że zrobił to kto inny n. p. Witos albo Korfanty**, a potem wyobraźcie sobie, że wykryliście tę aferę i macie na ten temat napisać "rewelacyjny" artykuł w "Gazecie Polskiej" czy "Polsce Zbrojnej": ładny byłby artykułik, co? Aż wam ślinka idzie na taką gratkę. Jakim rynsztokiem obelg, jaką lawiną plugastwa bluznęłyby wasze paszcze! No, to chyba rozumiecie. Otóż widzicie: w tym domniemanym artykule trzebaby wszędzie, gdzie pisze się "Witos czy Korfanty", podstawić "Piłsudski". I wtedy byłoby dobrze. Na tym polega moralność i uczciwość — pojęcia, które dla was stały się oddawna pustym dźwiękiem lub fałszywą kartą w szuflerskiej grze politycznej.

## XVII

**D**RUGI argument: że przed rokoszem majowym panowała w Polsce anarchja, że zwłaszcza sejm i partje polityczne były źródłem ciągłych zamieszek i niepokojów. Zgoda. Co racja, to racja. Przedmajowego systemu rządów nie mam zamiaru bronić, choćby dla tego samego tylko, że doprowadził do objęcia władzy przez piłsudczyznę . . . Zapomina się jednak przytem o dwóch arcyważnych momentach:

Primo: że jeżeli podówczas w istocie panowała anarchja, to główną winę za to ponosi sam Piłsudski i jego klika. To byli najwალniejsi szczekacze i warchoły, oni głównie wzbudzali waśnie i rozterki, nie dopuszczali ludzi do porozumienia się i znalezienia wspólnego języka. Piłsudski piorunował na "partyjniczo", ale w każdej partji miał "swoich" ludzi, którzy według jego poleceń i instrukcji wywoływali kryzysy parlamentarne, wszczynali dzikie awantury i burdy. Jakim to "demokratą" był wtedy n. p. "wyzwoleniec" Bogusław Miedziński! . . .

Piłsudczyzna już od samego zarania Polski wśliznęła się jak zaraza w życie polityczne i toczyła je jak rak i syfilis. Pomijam to, że ordynacja wyborcza, na zasadzie której wybrano pierwszy sejm, była tak doktrynersko-idjotyczna, wprowadzała w życie polityczne tyle żywiołów nieodpowiednich, politycznie niewyrobionych, wrogo do państwowości polskiej nastrojonych, że niema chyba kraju na świecie, gdzieby taka ordynacja nie wywołała anarchji. A ułożył ją i wydał nie kto inny, tylko pan Jędrzej Moraczewski, kapitan legjonowy i bliski współpracownik marszałka, pyskacz i zawodowy oszczerca, podówczas premier rządu, mianowany przez "naczelnika państwa".

To tak jest ze wszystkim: jeżeli coś u nas cuchnie obrzydliwie i zaczynamy szukać źródła tego zapaszku, węch zaprowadzi nas niemylnie do Piłsudskiego i jego zauszników: istna kloaka, zatruwająca Polskę smrodem i zgnilizną moralną. Tego stanu rzeczy nie trzeba długo udowadniać. Bo jeśli Piłsudski z jednej strony lubował się w konspiracyjno-ochroniarskich metodach działania, to z drugiej zbyt wiele tkwiło w nim błazeńskiej fanfaronady, żeby się nie wygadać przy sposobności. Sam przyznał w rozmowie z Daszyńskim: "To ja nie pozwalałem pracować dwom sejmom". To wystarcza.

**Uwaga:** W podobny sposób wygadał się, że to on rozkazał ruszyć Żeligowskiemu na Wilno głupio i niepotrzebnie. Bo skoro się raz zełgało przed całym światem, że to pułki wileńskie samorzutnie pomaszerowały na Wilno wbrew rozkazom dowództwa, to trzeba było konsekwentnie trzymać się tego pozorów bez względu na to, czy ktokolwiek i kiedykolwiek w tę bajeczkę wierzył. Ale wszak chodziło o nową "zasługę!" Pod tym względem Piłsudski był nieubłagany, nie darował nikomu ani źdźbła.

**Secundo:** że Piłsudski bynajmniej anarchji tej nie wypleniał, owszem wzmocnił ją i pogłębił. Anarchja szła teraz od góry, od sfer rządzących i wżerała wgłąb calizny społecznej. Dość wskazać na niezaprzeczalny fakt, że rządy piłsudczyzny były od początku do końca panowaniem bezprawia i samowoli. Dla Piłsudskiego prawem było to, co mu dogadzało w danej chwili. Innego prawa ten urodzony warchoła nie był zdolny pojąć. Po rokoszu majowym nie ogłosił dyktatury, nie ustanowił nowej formy rządu, co było jego psim obowiązkiem.

Wynikało to z jednej strony z tego, że nasz **nie-doszły dyktator** miał tylko poczucie swej "krzywdy",

poza tym—żadnego poglądu na sprawy państwowe, żadnego planu na przyszłość, żadnego określonego programu; z drugiej zaś strony — z najistotniejszych cech jego natury — z tchórzostwa i wstrętu przed odpowiedzialnością za losy państwa. Prócz tego proste wyrachowanie: mógł wszak robić, co chciał; cudowna wygoda mieć pod ręką bezsilny sejm, wtedy można **wszystkie plusy i powodzenia przypisywać sobie, wszystkie zaś niepowodzenia i klęski zwać na “sejmowych fajdanów”, tłumaczyć się tymi “kłódami”,** jakie mu rzekomo partyjnicy pod nogi rzucali, tymi przeszkodami, które jemu; **“wielkiemu”**... nie, przepraszam, — **“największemu”** człowiekowi stawiają **“oplute karty”**.

Starej konstytucji nie zniósł, ale ją gwałcił, łamał i obracał w pośmiewisko na każdym kroku. Za jego przykładem robili to samo wszyscy inni przedstawiciele władzy — od ministra na wiejskim stupajce kończąc. Od czasu do czasu dla zabicia nudów **“wielki człowiek”** robił sobie **“rozgrywki”** z sejmem, obrzucając rysztołkowymi wyzwiskami i szkalując swoich przeciwników, którzy nie mogli się bronić ani odplacić mu równą monetą. Świadczy to między innymi o niezwykłej szlachetności charakteru i o **“dobrych obyczajach”** tego pana, który, że wspomnę mimochodem, miał czelność prawić nauki właśnie na temat **“dobrych obyczajów”**. Nie trzeba dodawać, że wszystkie wybory sejmowe, jakie się w tym czasie odbywały, były gruntownie sfałszowane: zastraszanie, terror, rugi, oszustwa, unieważnianie list wyborczych **“ze względów formalnych”,** konfiskaty, oszczerstwa, zbrojne napady, odpowiednia **“interpretacja”** ustaw i przepisów — wszystko puszczano w ruch, aby sfabrykować pożądane dla reżymu **“wolę ludności”**.

Tak “wielki nauczyciel” wychowywał swój naród w ciągu ośmiu długich lat. A potem zastękały góry i porodziły “konstytucję kwietniową”, której istotą, sensem i duchem była tendencja do zapewnienia rządzącej klice stałego miejsca przy korycie. Załatwiono się tu radykalnie ze sprawą “przedstawicielstwa narodowego”: można było głosować, ale zawsze i tylko na zwolenników rządu, których w praktyce wyznaczali starostowie i wojewodowie. Ilość głosów, potrzebną do uprawomocnienia się wyborów, ustalono tak nisko, aby wystarczyły w razie potrzeby same głosy żydowskie: na te piłsudczyzna zawsze mogła rachować.

Teraz nastały w sejmie “dobre obyczaje”: złodziej prawil dusery włamywaczowi, bandyta adorował defraudanta, oszust schlebiał fałszerzowi, a cała zgraja płaszczyła się służalczo przed rządem i “zasługami marszałka”. Czasem, co prawda, pożarły się pieski o jakąś kość, ale zawsze w miarę, tak “na niby”, żeby sobie żadnej poważnej krzywdy nie zrobić. Nikt się zresztą tym jałowym wygłupianiem nie interesował zanadto, wszyscy wiedzieli, co sądzić o tym “przedstawicielstwie”. Ale i tej “swojej” konstytucji rządząca klika nie uszanowała, przerabiała ją i naginała do chwilowych potrzeb bez najmniejszych skrupułów. Tak po śmierci Piłsudskiego mianowali Rydza-Śmigłego marszałkiem i wyznaczili mu najwyższe w państwie po prezydencie stanowisko, co w konstytucji zgoła nie było przewidziane. Ale taka już była ta piłsudczyzna: bez “marszałka” — “wielkiego” czy “małego” — to oni ani rusz.

## XVIII

TEN obraz rządów “wielkiego męża” byłby niezupełny, gdyby się nie wspomniało o pewnym niezmiernie dla Piłsudskiego i jego klikki charakterystycznym, a wyjątkowo ohydnyim zjawisku, — mam na myśli instytucję “nieznanych sprawców” czyli zwyczajny bandytyzm polityczny, którego twórcą był “wielki marszałek”, lecz który przeżył swego rodzica. Bez tej broni piłsudczyzna nie umiała rządzić do samego końca. Miał to Piłsudski już we krwi. Kiedy po przyjeździe z Magdeburga do Warszawy delegacja obywatelska skarżyła się przed nim, że socjaliści wywiesili na Zamku czerwony sztandar, Piłsudski odpowiedział: “Trzeba go było zdjąć”. No, tak zdjąć: ale wtedy wybuchłaby walka. Ten “naczelnik państwa”, który na wstępie swego urzędowania podszczywa obywateli do bójek i zamieszek ulicznych — to okaz jedyny w swoim rodzaju na całej przestrzeni dziejów.

Od tej chwili zaczęli w Polsce działać mniej lub więcej “nieznani sprawcy”. Na początku, w okresie “naczelnikowania” — to były zwyczajne napady uzbrojonych panów oficerów na publicystów i posłów w obronie “czci wodza”, kończące się rozprawami sądowymi lub “sprawami honorowymi”, tak jak gdyby bandyta mógł mieć coś wspólnego z honorem. Klasyczne formy przybrała i do największego nasilenia doszła działalność tej najplugawszej i najtchórzliwszej ze wszystkich “czarnych sotni” w czasie od rokосу majowego do śmierci Piłsudskiego. Napady i masakrowanie przeciwników politycznych powtarzały się sporadycznie, wywołując w ludziach uczciwych za każdym razem moralny wstrząs, wybuch nienawiści i oburzenia, zatruwając atmosferę



życia publicznego, ustawicznie pogłębiając rozłam między społeczeństwem a armją: dochodziło do tego, że przyzwoci ludzie żegnali się i wychodzili, gdy w towarzystwie pojawił się oficer, nie chcąc mieć do czynienia z umundurowanym i wyorderowanym bandytą.

Wielbiciele marszałka próbowali i próbują rozgrzeszyć go z odpowiedzialności za te zbrodnie: że to niby on tego nie chciał, że nawet zabraniał, ale "oni sami", wbrew woli . . . Na nieszczęście Piłsudski i tu się wygadał: głupio i niepotrzebnie, jak stara baba — oświadczył w jakimś wywiadzie, że zgłaszali się doń "ludzie" z prośbą, aby im pozwolił zastrzelić marszałka Trąbczyńskiego. A więc to się odbywało "z wysoczajszago soizwolenja", z wyraźnego upoważnienia "tego, który" . . . Nie były to spontaniczne reakcje, o tym świadczy sposób przygotowywania tych napadów, ich staranna organizacja, sprawność wykonania, zdradzająca zawodową fachowość i rutynę bandycką. Sprawcy, rzecz prosta, nigdy nie zostali wykryci, powszechnie jednak wiadomo, że byli to oficerowie lub policjanci. Wiem o tym, że w niektórych formacjach wojskowych wprost wyznaczano poszczególnym ofiarom taką robotę, a oficer nie mogący się wykazać żadnym tego rodzaju "dowodem lojalności" był źle widziany i mógł oczekiwać zwolnienia przy najbliższej "czystce".

Oficerów również użył Piłsudski za narzędzie do rozprawy z posłami opozycji w Brześciu: to były jego "metody wychowawcze", stosowane w korpusie oficerskim. Czy wiecie teraz, dlaczego nasze oficerstwo zawodowe, zwłaszcza wyższe, tak haniebnie zawiodło w czasie ostatniej wojny, o czym świadczą zgodnie i nasi przeciwnicy i niemal wszyscy powracający z frontu żołnierze? Nic w tym dziwnego:

nocny bandyta lub więzienny kat i oprawca—to nie oficer. Te zawody wymagają zgoła innych kwalifikacji.

Ktoś może z nieustraszoną odwagą atakować w uzbrojonej gromadzie bezbronnego, zaskoczonego niespodzianie posła lub dziennikarza, często zbudzonego ze snu głuchą nocą wiadomością, że to przyniesiono mu telegram; ten sam potrafi prawdopodobnie również wspaniale zrobić “mordobicie” jakiemś więźniowi w celi, albo zaaranżować doskonale fikcyjną egzekucję. Ale na polu walki taki “bohater” będzie przed nieprzyjacielem czmychał, jak zając, lub jak Piłsudski z pod Kijowa, zostawiwszy swój oddział na pastwę losu. Bo ten nieprzyjaciół np. Niemiec, to, uważajcie, nie Zdziechowski, nie Nowaczyński, nie Mostowicz i nie Cywiński! On bestja, nawet od Wujcika lepiej strzela i nie można go potem wsadzić za to do kryminału na mocy wyroku przedajnego, utyłanego jak świnia w błocie służalczej nikczemności i zbrodniczej podłości, “sądu.” Jakże z takim walczyć? . . .

Wspomniałem tylko najgłośniejsze wypadki jedynie te, które mi żywiej utkwily w pamięci. Ale ile tego było na przestrzeni całej Polski w ciągu czterech lat panowania piłsudczyzny, tego nikt nie przeliczy. Tu również przykład szedł zgóry, nauczony przez “wielkiego nauczyciela narodu” wprawdzie zaczęli na własną rękę organizować zbrojne napady panowie wojewodowie, jak Kirtiklis na Pomorzu, potem starostowie, że wspomnę tylko skrytobójstwo magistra Cudzika, a wreszcie wójtowie, komendanci policyjnych posterunków i drużyn strzeleckich. — Tam, w dole, polityka mieszała się nierozzerwalnie z pospolitym bandytyzmem i chuligaństwem. Nieprzesadzę napewno, jeśli przypuszczę, że około kilku ty-

sięcy ludzie zginęło ze skrytobójczej ręki prorządowych mętów społecznych i sanacyjnych opryszków, opłacanych ze skarbu państwa: **to jeszcze jeden liść do "laurowego wieńca" zasług "wielkiego marszałka"**.

## XIX

**N**IE sędzę, aby te zmiany jakie piłsudczyzna wywołała w naszym życiu społecznym, gospodarczym i politycznym były wynikiem jakiegoś głębiej przemyślanego konsekwentnie przeprowadzonego planu. Rządy tych ludzi cechuje przedziwna prostoduszność i gruba naiwność: jakby parobas wiejski manipulował widłami od gnoju w zegarze; jakby podmiejski rzeźmieszek robił operację swoim majchrem świeżo wyostrzonym o cholewę. Poza program wyrównania "niesprawiedliwości", wysunięty przez ich wodza w pierwszym dniu rokoshu, nie wyszli do końca. Wszystko inne wynikało z tego, jako dalsza konsekwencja, częstokroć nieprzewidziana i przez nich samych niepożądana. **Walka z sejmem i partyjnictwem była w swej istocie walką z kontrolą społeczną nad wydatkowaniem grosza publicznego.** Chodziło o forszę, o prawo swobodnego dojenia skarbu państwa — to oni pojmwali doskonale. **To był ich monopol, — wara od tego "partyjnikom"!**

W tym samym celu opanowali życie gospodarcze, oplątując je mackami biurokratyzmu i specjalnego ustawodawstwa. **Trzymali mocno łapę na wojsku,** zwłaszcza na korpusie oficerskim — tą drogą uzyskali władzę i to była najsilniejsza gwarancja jej utrzymania. **Zwolna opanowali administrację i samorząd.** Zbyt wielu było wśród nich kryminalistów, aby się nie zatroszczyli o sądownitwo; wreszcie przyszła kolej na szkolnictwo, które też "zreformo-

wano” — bo szkoła miała wychować młode pokolenia w uwielbieniu dla “wielkiego marszałka” i w kar-ności względem reżymu . . .

Istotą tych wszystkich “reform” był zawsze i wszędzie problem personalny. To było jasne i proste, nie wymagało żadnego wysiłku umysłowego, ani głębszego zastanowienia: **swoich dopuścić do żłobu, odegnąć obcych**. Na tym tle rozwinęła się ohydna plaga naszego życia: protekcjonizm i nepotyzm w **lekceważeniu kwalifikacji zawodowych, umysłowych** co przerodziło się wkońcu w istny kult niefachowości i dyletantyzmu.

“Wielki marszałek” dawał swą osobą i “bajeczną karierą” najlepszy przykład, jak bez rzetelnych studjów, bez wiedzy i wiadomości fachowych, można zostać “generałem” i “wodzem naczelnym”, zabierając decydujący głos we wszystkich zagadnieniach współczesnego życia, rozstrzygać bezapelacyjnie o wszystkim.

Wytworzył się u nas typ “genjalnych” ignorantów i dyletantów z ukończonymi pięcioma klasami loterji państwowej i akademją ku czci marszałka, jednakowo uzdolnionych do każdego stanowiska, byle, rzecz prosta, dochodowego. Taki mógł być generałem, dyrektorem banku, albo koncernu przemysłowego, ministrem spraw zagranicznych, albo wojewodą — czym kto chce zresztą. Grunt — to “nominacja”. A każda taka znakomitość ciągnęła za sobą długi szereg protegowanych krewnych, kolegów, znajomych, osób poleconych i zarekomendowanych przez inne znakomitości. Powstało pod koniec coś w rodzaju dziedzicznej szlachty, całe rodziny dygnitarskie Starzyńskich, Przedpeńskich, Pierackich . . . Stąd potrzeba stwarzania coraz to nowych stanowisk i posad — wszak dla pana Miedzińskiego i

jego złodziejskiej paczki restytuowano skasowane Ministerstwo Poczty i Telegrafów, — niechaj się zasłużył pożywią.

Rezultatem tego była prawdziwa hydra biurokracyzmu, coraz mocniej oplatająca swymi mackami organizm państwowy i gospodarczy i wysysająca zeń ostatnie soki. Aby nastarczyć tym **“potrzebom”**, rozdęto do ostatecznych granic budżet, **nałożono rujnujące podatki, zubożono i wyjąłowiono z kredytu życie gospodarcze**, a gdy nadszedł kryzys, zachęcano społeczeństwo do **“zaciskania pasa”** i biernego przetrwania, nie umiejąc nic innego wymyślić. To były zresztą rady dla **“fellachów”**, dla obywateli drugiej klasy, bynajmniej nie dla sfer uprzywilejowanych: ci musieli sobie przecie nagrodzić swój legionowy **“patriotyzm”**. Dlatego też nasz budżet był niemal w całości budżetem konsumpcyjnym, poprostu mówiąc: to, **co klika zdarła ze społeczeństwa, pożerała momentalnie wmg**.

A każda taka świnia, stojąca czterema racicami w korycie, której na obie strony kapało z ryja, dawała **“szarym ludziom”** pouczenia i wskazówki moralne, chrząkając półgębkiem pomiędzy dwoma łykami: **“Zaciskajcie pasa! To bardzo zdrowo i higienicznie, ja, stara, doświadczona świnia, zagrożona otłuszczeniem serca, prorokuję to wam zgodnie z “ideologią” marszałka Piłsudskiego!”**

W czasach kryzysu i bezrobocia skarb państwa **wyasygnował milion złotych subsydjum** właścicielowi bankrutującej restauracji **“Adrji” (żydowi)** z uzasadnieniem, że tego rodzaju **luksusowy lokal rozrywkowy potrzebny jest w stolicy**. To były ich **“państwowe”** potrzeby! Ale chodziło w tym wypadku o co innego, mianowicie o to, że **rozmaite “czołowe osobistości”** reżymu **placiły swe długi w “Adrji”**

wekslami, których nie miały za co wykupić, pomimo wysokich pensyj, gratyfikacyj i funduszków dyspozycyjnych i reprezentacyjnych i dodatków funkcyjnych i wielu jeszcze innych dochodów, o których nikt się nigdy nie dowie, tak sprytnie chowano końce w wodę. Słusznie zauważył z tego powodu "Robotnik": jeżeli jakiś biedak czy bezrobotny kazał sobie podać porcję kielbasy z kapustą i wypił do tego dwa kieliszki "wyborowej", to ciągnano go na policję, gdy nie miał z czego zapłacić rachunku. Ale ministerjalne "darmozjady", zalewające koniakiem gruboziarnisty kawior, — to inna kategoria obywateli: za nich płacił rachunki skarb państwa.

Opowiadano w Warszawie, że minister Skarbu Zawadzki dzień w dzień upijał się w tejże "Adrji" do nieprzytomności, tak że kelnerzy musieli nad ranem wynosić zarzygany ministerjalny tłumok do auta, wreszcie wpadł w delirium tremens i musiał wyjechać do jakiegoś kurortu w Czechosłowacji, aby się leczyć. To był koniec kariery politycznej tego męża, pełnego zasług dla państwa. W Wilnie także kursowały gęsto jego weksle "knajpiarskie". Któż mógł takim apetytom sprostać? . . .

**Czy wiecie teraz, dlaczego byliśmy tak haniebnie, tak zbrodniczo nieprzygotowani do wojny? Dlaczego mieliśmy tak mało tanków, aut ciężarowych, dział przeciwlotniczych i przeciwczołgowych, aeroplanów? Dlaczego nawet karabinów brakowało? Dlaczego nie zmobilizowano wszystkich zdolnych do noszenia broni i nawet ochotników nie przyjmowano z powodu . . . braku mundurów? Ano tak! Nie było pieniędzy. Byliśmy biednym społeczeństwem. Trudno, na wszystko nie mogło starczyć. Starczyło na wymyślne żarcie i pijaństwo, na wille i luksusowe auta, na łajdactwo i rozpustę panów**

dygnitarzy, współpracowników wielkiego marszałka". Armję uzbrajano za to, co dodatkowo wyżebrano i za to, co natrętnie wyłudżono od społeczeństwa i organizacyj gospodarczych. Do prowadzenia wojny tego było za mało — akurat tyle, ile potrzeba dla parad wojskowych, w czasie których udekorowane bałwany wygłaszają idjotyczne, pełne zarozumiałstwa i samochwalstwa mówki, naszpikowane cytata-  
mi z pism marszałka.

I jeszcze jedno: czy wiecie, dlaczego Anglja, pomimo zbliżającej się wojny, pomimo sojuszu militarnego z Polską, odmówiła nam pożyczki gotówki? — Bo nie chciała swych pieniędzy rzucać w błoto "Adrji" między bandę rozwydrzonych złodziejasków. Postawiła podobno warunek: **musicie przedtem powołać rząd koalicyjny**, co należy rozumieć, wprowadzić do rządu choć paru uczciwych ludzi. Ale świnie nie dały się tak łatwo odegnać od koryta, stanęły zwartym szeregiem ryj przy ryju, groźnie i nieprzejednanie: **niech raczej wszystko przepada, a my do końca wytrwamy przy korycie według ideologii marszałka Piłsudskiego!**

Mało tego, już w okresie wojny, kiedy wszystko waliło się w gruzy, kiedy niewstrzymana lawina żelaza toczyła się przez nasze ziemie, nasz czcigodny rząd nie miał pilniejszych trosk na głowie, jak mianowanie ministrem **wojewody Grażyńskiego**, który w pierwszym dniu wojny stracił swoje korytko, a **komisarzem bezpieczeństwa publicznego z rangą ministra . . . kogo?** czyby kto uwierzył — **osławionego kata Brzeskiego**, obskurnego degenerata Kostka-Biernackiego! Ostatnimi bodaj publikacjami rządowymi były właśnie historyczne dekrety tego komisarza, które robiły swoją treścią i tonem wrażenie bezsilnego skowyczenia psa, zdychającego na te właś-



nie histeryczne dekrety swego komisarza. To był już ostatni policzek, wymierzony narodowi przez "wielkiego marszałka" dłonią jego spadkobierców.

Ostatni — niepoczytalny już — w chwili nieopisanej paniki i przerażenia wykonany, odruch zdychającej mafji, — nieświadomy, automatyczny, ale tym znamiennejszy. **Piłsudczyzna w chwili swej agonji — jeszcze stygnącą ręką podpisywała nominacje, fabrykowała nowe dostojęstwa . . .** Zgodnie z ideologją marszałka Piłsudskiego. Wtedy . . . gdy Polska waliła się w otchłań nowego rozbioru.

## XX

**C**ZY Piłsudski, jak to głosili jego chwalczy, zdławił anarchję trawiącą organizm państwa? Zewnętrznie i poniekąd — tak. **Ale tylko zewnętrznie i to daleko niezupełnie.** Przecież za jego rządów odbył się dalszy ciąg "rozgrywek" z sejmem, Kongres Krakowski Centrolewu, wybory Brzeskie, słynna na cały świat "pacyfikacja Małopolski wschodniej", która hańbą okryła imię Polski; zaledwo zamknął oczy, a już wybuchły krwawe rozruchy chłopskie w Małopolsce zachodniej, strajk rolny, groźne rewolty w Krakowie i we Lwowie, eskapada Doboszyńskiego, antysemitki zamieszki i pogromy w Przytyku, Brześciu, Mińsku Mazowieckim i tylu innych miejscowościach. To nie był spokój, ani unormowane życie; w gruncie rzeczy było mało co lepiej, niż za rządów "sejmowładztwa".

Ale to nie wszystko. Piłsudski wywiązał się z tego zadania, jak nieumiejętny lekarz, który, jak się to mawia, wpędził chorobę do wnętrza". Tę troszkę spokoju okupiono bowiem straszliwym spustoszeniem moralnym, jakie wyrządziły rządy Piłsud-

skiego i jego kliki w psychice społeczeństwa. Ustawiczne łamanie prawa, bezwstydną okradanie skarbu państwa, marnotrawstwo grosza publicznego, obsadzanie najwyższych stanowisk łotrami i durniami, poniewieranie i krzywda ludzi uczciwych, bezmyślny biurokracyzm, forytowanie żydostwa, rozpanoszenie się serwilizmu, przekupstwa, łapownictwa, akty terroru, nepotyzmu i protekcjonizmu, kult niekompetencji i niefachowości, ucisk maluczkich, zduszenie wolności słowa przez bezprawne konfiskaty, przedajność i niesprawiedliwość sądów, które stały się organem ucisku na usługach reżymu — wszystko to osłonięte nudną, jak flaki z olejem, pustą deklamacją na temat “legjonowych czynów” i “zasług” “tego, który” — oto obraz Polski za rządów “wielkiego marszałka i jego spadkobierców.”

Obywatel uczył się, że aby żyć i prosperować, trzeba być jednym ze “swoich”: takiemu wszystko ujdzie, na wszystko sobie może pozwolić, byle się trzymał kliki i wielbił marszałka. Ale opozycjonistę, “antypaństwowca”, obywatela drugiej klasy nie ocali nic, jeśli się narazi, ani **praca ani patriotyzm**: wyrzucą go z posady, a jeśli jest niezależny — zniszczą podatkami, wymierzanymi zupełnie dowolnie, i “społecznymi świadczeniami”; gdy zaś i to go nie złamie, jest jeszcze Bereza Kartuska, do której można posłać każdego na tej zasadzie, że, zdaniem władz, może się stać przyczyną niepokojów. Niech kto panu staroście udowodni, że nie może się stać przyczyną niepokojów! Zresztą pan starosta nie zapuszczał się w dyskusje z “antypaństwowcem”, posyłał go pod eskortą policji i nie zaprzętał nim sobie więcej swej cennej mózgownicy. Powiecie, że nie tak znów często wysyłało do tej Berezy. Odpowiedź: **częściej niż wam się wydaje.** Bolszewicy zwol-

nili z niej parę tysięcy więźniów. Zresztą nie chodzi o cyfrę. **Hańbą jest sam fakt, że nie można było traktować w ten sposób ludzi, którym żadnego przestępstwa nie udowodniono.**

Czy teraz możecie sobie wyobrazić, jaką anarchję wewnętrzną, **jaką demoralizację szerzyły takie rządy?** — Ilu względnie przyzwoitych ludzi złamano moralnie i zdeprawowano, przerobiono na kanalję i błoto ludzkie, zmieniono na konfidentów, donosicieli, złodziei, politycznych opryszków, zaprzańców i lizusów, służalczych karjerowiczów, na gady ludzkie bez kręgosłupa, gotowe pełzać przed każdym, kto ma siłę? A z drugiej strony, **iluż to ludziom odebrano wiarę w przyszłość i wielkość Polski?** Ilu uczciwych ludzi pograżyło się w prostrację i beznadziejność, zasklepiło się w życiu prywatnym, ponieważ czuli się bezsilni i nie mieli wprost odwagi zanurzyć się w tę jamę kloaczną, jaką stało się nasze życie publiczne! To była nasza “emigracja wewnętrzna”, stokroć straszliwsza niż wszystkie emigracje, jakie przeżywaliliśmy w ciągu dziejów: **emigracja duchowa z kraju, jęczącego pod okupacją piłsudczyzny, najgorszą ze wszystkich okupacji, jakim podlegała kiedykolwiek nasza ojczyzna.** Bo śmiem twierdzić, że **nic, nawet stuipięćdziesięcioletnia bez mała niewola, nie zdeprawowała tak narodu, jak czternastoletnie niespełna rządy “wielkiego marszałka” i zgrai jego służalców.**

I to jest najgłębszy i najistotniejszy sens tej antynomji, sformułowanej na łamach naszej prasy, a wyrażającej się w przeciwstawieniu sobie pojęć narodu i państwa. Antyteza, która obcokrajowcom nie przyszłaby do głowy, której nie pojęliby bez wysiłku. U nas stała się czymś naturalnym od czasu, gdy piłsudczyzna zaczęła się konsekwentnie utoż-

samiać z państwem, a żywioły opozycyjne trakto-  
wać jako antypaństwowe.

Za to "państwo" nie było emanacją ducha na-  
rodu, nie było narzędziem jego siły w walce o byt,  
lecz służyło celom obcym, a nawet wrogim narodo-  
wi, to "szaryczłowiek" wyczuwał instynktownie. Głę-  
boka nieufność do tego "państwa" nurtowała duszę  
społeczeństwa; **niektórzy dochodzili wprost do nie-  
nawiści.** Widziałem ludzi serdecznie uradowanych  
na wieść o naszych porażkach na terenie międzyna-  
rodowym: wszak były to im jednocześnie klęski znie-  
nawidzonej mafji. Nastąpiła atrofja ducha ofiarności  
na cele państwowe w społeczeństwie, bo chyba niko-  
go nie łudzą dzisiaj owe "dobrowolne" ofiary, po-  
życzki i składki. **Takiemu państwu nie dawał nikt  
nie więcej niż to, co ono samo mogło od obywatela  
gwałtem wydrzeć.** Czyż można się dziwić? — Mój  
Boże, choćbym dał wszystko co mam, choćbym  
ostatnią koszulę zdarł z siebie, to pan Michał Moś-  
cicki potrafi o wiele więcej przegrać w jedną noc,  
a pan minister Zawadzki, czy generał Wieniawa,  
więcej przepić w "Adrji"! Więc po co mam się ruj-  
nować dla kogo? Oni i bez tego mają dość, im i  
bez tego jest "byczo" . . .

**Czy pamiętacie, jak rozpoczęły się wielkie roz-  
ruchy chłopskie w Małopolsce?** Oto w oktawę Bo-  
żego Ciała odbywało się nabożeństwo, w czasie któ-  
rego strzelano z moździerzy: zwyczaj pra-stary i zgoła  
nieszkodliwy, przynajmniej dotychczas nikomu nie  
wadził. Ale nie spodobało się to panu komendantowi  
posterunku policyjnego. A pan komendant na wsi—  
to coś w rodzaju marszałka w kieszonkowym wy-  
daniu. Co jego wzruszają tradycje, zwyczaje i uczu-  
cia ludzi? Hołota jest od tego, żeby słuchać władzy.  
Stante pede posyła dwóch posterunkowych do koś-

cioła, żeby zabronili strzelania i odebrali księdzu proch. Na wieść o tym zgromadzona w kościele ludność rzuciła się na policjantów. Ci ratowali się ucieczką, ale chłopci dopędzili ich w polu i zatłukli kijami na śmierć tak jak się zabija wściekłe psy. Potem oblegli posterunek. Napływało coraz to więcej ludzi. Do stłumienia buntu musiano ściągać policję z kilku powiatów. Padło przytem kilkadziesiąt ofiar, całe gromady chłopów osadzono w więzieniu. **Oto był stosunek prostego człowieka do państwa i jego przedstawicieli.**

Bo nie zapominajmy, że dla chłopca państwo — to przedewszystkiem policjant. **Ile gorczy i nienawiści musiało nakipieć w sercu tych ludzi prostych, uczciwych i religijnych, nim ich doprowadzono do takiej reakcji.** Jeden z nich zapytany w czasie przewodu sądowego, dlaczego wziął udział w zamieszkach, oświadczył: **Bo w Polsce dzieje się dobrze tylko żydom i tym co wysoko siedzą; chłopca traktuje się gorzej, niż bydło — gorzej, niż za czasów zaborczych.** Oto "vox populi," naturalnie skonfiskowany przez patrijotycznego cenzora. Mimo to dotarł do wiadomości ogółu.

Piśsudczycy oburzali się przewielebnie: Jakto? Porównywać Polskę z państwami zaborczymi! To zgroza! Nie wolno, nawet wtedy, gdy odbiera się chłopom prawa, nadane im przez rząd austriacki, gdy bezwstydnie fałszuje się wybory przy pomocy policji i belfrów ze związku nauczycielstwa polskiego . . . gdy posłów chłopskich katuje się w Brześciu!

No, tak, aż nadto jest zrozumiała obawa naszych dygnitarzy przed tym porównaniem. **W państwach zaborczych połowa z nich zgniłaby w kryminałach,** bo tam był taki dziwaczny zwyczaj, że chuliganów, złodziei i bandytów sadzano do kozy; nałogowi pi-

jacy też rzadko bywali ministrami, przeważnie zdy-  
chali w rowach przydrożnych; reszta zamiatałaby i  
czyściła ustępy, bo do niczego innego nie nadawa-  
liby się; możeby zresztą ten i ów zrobił zawrotną  
karjerę, awansując na pisarza gminnego w Grajdoł-  
ku lub na feldfebla zawodowego, o ileby go złodziej-  
ska żyłka nie zawiodła z powrotem “na swoje miej-  
sce” — **do kryminału.**

Ale to byłby już szczyt, wyżej nie wzbilby się  
żaden, nie wyłączając “tego, który”. — Bo tam po-  
trzebne były wszędzie kwalifikacje, a im wyższe  
stanowisko, tym większe: całkiem odwrotnie, niż u  
nas. Takie to były dziwaczne te państwa przedwo-  
jenne? . . . I jak tu potem nie być patryotą? Rozumie  
się, za odszkodowaniem, “według ideologii” i t. d.

Ta “ideologia” — to prawdziwa pięta Achille-  
sowa piśsudczyzny, coś takiego, o czym niepodobna  
poważnie mówić. **To niby owe szaty królewskie** w  
znanej bajce Andersena, które miały ten tylko man-  
kament, **że ich zgoła nie było**; poza tym odznaczały  
się wszystkimi możliwymi i niemożliwymi zaletami.  
Ale tam, w bajce, jakieś zuchwałe dziecko ot-  
warło ludziom oczy jednym okrzykiem; w naszej  
historji z niewiarygodnego zdarzenia takie niesforne  
bachory pouczano o istnieniu “ideologii” motopom-  
pami, ciosami kolb i pałek gumowych, relegacją z  
uniwersytetu, wreszcie Berezą Kartuską.

**Argumenty dość**, można powiedzieć, **przekony-  
wujące.** Piśsudczyzna nie miała żadnej ideologii w  
rodzaju komunizmu, faszyzmu czy narodowego soc-  
jalizmu, — **i nie mogła jej mieć.** To przerastało  
wielokrotnie jej możliwości i kompetencje. Coś, co-  
by zasługiwało na nazwę ideologii, trzeba przede-  
wszystkiem stworzyć, a to nie jest rzecz tak prosta,  
ani łatwa. **Do tego potrzeba mocnej głowy i wiel-**

**kiego serca.** Jest to jakby idealny pogląd na świat, wynikły z przecięcia się pragnień i aspiracji mas narodowych z warunkami twardej rzeczywistości dziejowej, i dający tym masom odpowiedź — taką czy inną — na najważniejsze zagadnienia ich bytu.

**Któż miał stworzyć ten system w obozie Piłsudskiego?** Kto był do tego zdolny i powołany? Czy ta łobuzerja legionowa, odgrywająca rolę żołnierskiej tężyzny? Ależ to były wypędki ze szkół i fabryk, podmiejska chuliganerja, moralna, duchowa i umysłowa nędza, którą stać było akurat i co najwyżej na “Pierwszą Brygadę” — wyżej ani rusz dla tych watah szubrawych karjerowiczów, które załazy obóz po przewrocie? **Ależ oni szukali forsy, a nie ideologii.** Wymieńmy najważniejszych matadorów piłsudczyzny, najgłośniejszych pyskaczy . . . Sławek? Prystor? Stpiczyński? Miedziński? Koc? Matuszewski? Rydz? bracia Jędrzejewicze, Pat i Patachon Piłsudczyzny? Kościałkowski? Świtalski? Bartel? Sosnkowski? Pieracki? Czy wreszcie wileński Cat-Mackiewicz?

Mimowoli trzeba się uśmiechnąć przy każdym nazwisku: oni — i ideologja! To jakby siodło na świni! Prawda, ten ostatni wypocił coś w tym rodzaju, plotąc trzy po trzy o “mocarstwowości Polski” i o testamencie Władysława IV-go, ale potem sam się swego dzieła zawstydził. O Kocu nawet nie wspominam, bo **ostatecznie ukraść Narodowej Demokracji kilka popularnych haseł**, to każdy potrafi. Pozostaje znów “ten, który,” “wielki marszałek” . . . Ależ to był także niedokończony student, który poza mądrości gimnazjalne nie wylazł, a czas trawił na konspiracji, pisaniu agitacyjnych artykułów i okolicznościowych mówek, na układaniu pasjansów; lichy grafoman, fabrykant pustych frazesów, bez-



myślny tępak i dyletant pod każdym względem. **Oburzycie się**, panowie piłsudczycy, powiecie, że to **obelgi**, “**kalanie świętości**”? — Odpowiem wam to tylko: **jesteście tak ograniczeni, że nie umiecie ukryć nawet własnej głupoty**. Gdybyście mieli choć krztynę inteligencji, to nie dawalibyście swym przeciwnikom w ręce takich “dokumentów,” jak rozpowszechniane w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy “pisma, mowy i rozkazy” albo słynne “Strzepy mel-dunków.” To są dowody pierwszorzędnej jakości i wagi, które krzyczą wielkim głosem . . . Wobec zniesienia instytucji “nieznanych sprawców” nie możecie nic na to poradzić. **Musicie wysłuchać prawdy**.

Owe “**Pisma, mowy i rozkazy**”! . . . Czy jest gdzie druga książka tak marna, tak pusta i czcza, tak przepełniona wyświechtaną, wyblakłą, nudną frazeologią i isticie babską gadatliwością, sklejona niemal wyłącznie z oklepanek i komunałów, które wszystkim już od stu lat kością w gardle stoją? Ja drugiej takiej nędzy umysłowej nie spotkałem i nie mam nadziei znaleźć. Jest to w swoim rodzaju rekord kaznodziejskiego grafomaństwa. Ani jednej głębszej myśli ani jednego szerszego poglądu, nawet trafniejszego ostrzeżenia — ani na lekarstwo!

Falą trującego gazu leją się z kart umysłowe mydliny, czcza gadanina, obracająca się wciąż w sferze durnych morałów i pouczeń tak ogólnikowych i beztreściwych, że można je dopasować do każdej sytuacji, patriotycznych okrzyków i zablagowanej fanfaronady. Nie wierzycie? Spytajcie się nauczycieli, którym polecano odczytywać w czasie rozmaitych “państwowych” galówek wyjątki z pism marszałka, oni wam opowiedzą, z jaką rozpaczą grzebali w tym śmietniku banałów i bzdurstw, żeby znaleźć

choć jeden ustęp, zdolny kogoś zainteresować i powstrzymać choć na moment epidemję ziewania. Trudności były tak wielkie, że wreszcie znalazł się jakiś spryciarz, przewertował dzieła marszałka, wyszukał pracowicie wszystko, co miało jeszcze jaki taki sens i wydał odpowiedni "wybór," przeznaczony dla tych męczenników, którzy z obowiązku i nakazu musieli te elukubracje czytać.

Z wielu grubych tomów powstała maleńka, czterdziesto-paro-stronicowa broszurka, tak mimo to uboga duchem i mizerna, że ręce opadają, kiedy się to czyta. Dość wskazać, że na kilka tysięcy stronic nie znaleziono nic lepszego, jak słynny aforyzm o nadchodzących czasach "wyścigu pracy," które mają zastąpić "wyścig żelaza i krwi." Już to do "przepowiedni" miał Piłsudski osobliwe szczęście: bo akurat nastąpiły czasy bezrobocia i zawrotnych zbrojeń. Mimo to rozwieszano tę patetyczną brednię, oprawioną w złote ramki, na ścianach szkół, a jakiś klasyk przerobił to nawet na wiersze łacińskie; ale głupstwo, wypowiedziane po łacinie, nie przestaje być głupstwem.

A propos tego aforyzmu: Usłyszałem po raz pierwszy tę myśl już dawno z ust pewnego frajtra armji austrjackiej, niejakiego Żezulki Franciszka, Czecha, socjał-demokraty, z zawodu szewca. Wierzył on, że niedługo znikną poszczególne państwa i ustaną wojny, zastąpione przez rywalizację ekonomiczną grup etnicznych przyszłej pan-Europy. Uważam tu za swój obowiązek podać do wiadomości publicznej i przekazać potomności imię tego myśliciela, który na lat kilka wyprzedził "genjalną myśl" "wielkiego marszałka," ale z tym, że wypowiedział ją o wiele lepiej, bez głupawego patosu i babskiej gadatliwości. Nie chcę jednak przez to powiedzieć,

że Piłsudski czerpał natchnienie od Żezulki. Prostu: na podobnej glebie i w pokrewnej atmosferze umysłowej wyrosły dwa tego samego rodzaju kwiatki. Zjawisko zrozumiałe i nie wymaga dłuższych komentarzy.

Wracam do **“Pism”** . . . Wskażcie mi w tym oceanie rycyny jeden ustęp, któryby mógł zafrapować umysł przeciętnie rozcigniętego osobnika! Konia z rzędem temu Kolumbowi, który tę oazę odkryje! Konia z rzędem i pomnik na Marszałkowskiej! Mogę dać jeszcze pensję ministerjalną, także nic nie pomoże, bo tego nie znajdzie nikt, choćby jak rabin żydowski nad Talmudem ślęczał całe życie nad tymi tomami **“Pism, mów i rozkazów.”** Niema zresztą o to obawy: zdechnie po tygodniu z nudów, o ile przedtem go nie zabiorą do domu obłąkanych.

A przecie było tyle palących zagadnień, tyle niecierpiących zwłoki trudności, tyle ważnych problemów, które domagały się wielkim głosem rozstrzygnięcia i interesowały żywo ogół społeczeństwa. A więc kwestja polskiej polityki zagranicznej, zwłaszcza naszego stosunku do Rosji i Niemiec; postawienie na stopie nowożytnej naszej armji, co łączyło się ściśle z kwestją rozwoju motoryzacji i budowy straszliwie zaniedbanych dróg bitych; dalej—problem mniejszości narodowych, a zwłaszcza żydowskiej; bezrobocie; przeludnienie wsi; unarodowienie handlu i przemysłu; spolszczenie miast; przeciążenie podatkowe; sprawiedliwy podział dochodu społecznego; organizacja przemysłu ciężkiego—i tyle innych! . . .

Ale i to nie wszystko. Polska istnieje w Europie, sprzężona nierozzerwalnymi węzłami z losami innych narodów — i na tym tle powstaje szereg nowych zagadnień, o których myśli nieraz każdy

normalnie rozwinięty człowiek, często z drżeniem serca. Jaka jest najbliższa przyszłość Europy i jej kultury? Jak mamy się ustosunkować do zachodzących zmian i nadciągających wydarzeń, jaką postawę wobec nich zająć?—Otóż ideologia polityczna—to właśnie konsekwentny i jednolity całości kształt odpowiedzi na te pytania. Te odpowiedzi znajdzie Włoch w publikacjach faszystowskich; znajdzie je Niemiec w “Mein Kampf” Hitlera i dziełach innych przywódców narodowego socjalizmu; znajdzie je bolszewik w pismach Marxa i Lenina. Mniejsza o to, jaka jest ta odpowiedź; nieważne, czy wytrzymuje t. zw. “naukową krytykę,” a nawet to, czy nie cofa się przed probierzem t. zw. “zdrowego rozsądku.” Bo w tym wypadku prawda nie jest czymś gotowym i leżącym na stole, jak szynka wielkanocna; prawda ideologiczna jest czymś, co trzeba wywalczyć, wypracować, zdobyć w danych warunkach. Możemy się śmiać z teorii “rasizmu” i bardzo przekonywująco wykazywać jej absurdalność; ale jeżeli osiemdziesięciomiljonowy naród gotów jest oddać swe mienie i krew za tę teorię, to jest ona “ideologiczną prawdą,” bo jest siłą, potężnym motorem działania. Ideologia—to prawda przyszłości, działająca jako siła w teraźniejszości.

Niechżeż teraz jakiś czytelnik polski wertuje od rana do wieczora przez sto lat piśmienniczą spuściznę “wielkiego marszałka” w poszukiwaniu odpowiedzi na dręczące go wątpliwości i pytania tego pokroju. Znajdzie tam . . . owszem, znajdzie tam wiele wściekle interesujących rzeczy, naprz. wspomnienia z młodości “wielkiego męża,” pełne dziecinnego samochwalstwa, jakieś anegdotki sybirsko-więzienne, legjonowe bujdy i legendy, nieskończony szereg okolicznościowych mówek i wojskowych roz-

kazów, tak martwych i przebrzmiałych, jak te okoliczności, które je wywołały, wreszcie pseudo-strategiczne i polemiczne rozważania na temat “moich bojów;” osobny paragraf—to słynne wywiady z panem Miedzińskim: z tych zostało coś “wiecznotrwałego” mianowicie uczucie obrzydzenia, jakie muszą wzbudzić zawsze i wszędzie w każdym człowieku, który stanął choć na pierwszym—licząc od dołu—szczeblu kultury obyczajowej.

UWAGA:—Jakiś serwilistyczny pismak z wileńskiego “Słowa”—czy aby nie pan Wyżomirski?—uważa plugastwo językowe Piłsudskiego za jeden więcej dowód jego “genialności:” że niby wyprzedził pod tym względem epokę, w której rzeczy nazywa się po imieniu. Niema rady, Piłsudski musi być zawsze “wielki,” nawet kiedy się babrze w ekskrementach; tylko, że nie był żadnym prekursorem, naodwrot, był strasznie zapóźniony. Teraz nawet żołnierze rosyjscy, słynni ongiś ze swych plugawych przekleństw, zaniechali tego zwyczaju, tak to mieliśmy sposobność stwierdzić w Wilnie.—Osobna sprawa—to należyta ocena moralna tych wystąpień. Mógł sobie p. Piłsudski afiszować się swoją wulgarnością i brakiem kultury obyczajowej w gronie swych wielbicieli i wielbicielek; wywrzaskiwać “Dno oka” na cały głos czy też szeptać je do uszka swej żonie: to ich rzecz. Ale on wypisywał te obrzydliwości w prasie, która miała debit za granicą, gdy był ministrem i nieoficjalnym dyktatorem, hańbiąc i podając w pośmiewisko naród i państwo. Brak to był

powagi i poczucia odpowiedzialności, wynikły na tle niedorozwoju umysłowego w stopniu nienotowanym w historii.

Oto wszystko. **Ale to nie jest ideologia.** To nawet w przybliżeniu nie jest podobne do żadnej ideologii. To jest jałowa, napuszczona paplanina, nacechowana zdumiewającą ciasnotą poglądów i brakiem szerszych zainteresowań. Niema tam nawet zrozumienia problemów o charakterze ideologicznym, są one tam poprostu pominięte. To jedna **“Wielka Bzdura”**—oto odpowiedni tytuł dla tych smętnych wygłupiań się, który niniejszym mam zaszczyt zaproponować przyszłemu wydawcom pism “wielkiego marszałka,” jeżeli tacy się kiedykolwiek znajdą, co jest więcej niż wątpliwe.

Bardziej interesujące są **“Strzępy meldunków”** Składkowskiego, miejscami nawet zgoła zabawne. Ale nie sądźmy, żeby autor był humorystą, broń Boże. Jeśli nim jest, to pomimo, a nawet wbrew woli. Píše poważnie, z namaszczeniem, w przekonaniu, że wystawił swą książką marszałkowi pomnik “trwalszy od spiżu.” Tymczasem przedstawił go takim, jakim był w rzeczywistości—i to jest najkapatalniejsza zaleta tego dzieła. Autor ma dobrą pamięć, a najprawdopodobniej robił sobie ze świeżej pamięci notatki: przedstawia Piłsudskiego w rozmaitych sytuacjach, jakby w szeregu migawkowych zdjęć, przytacza całe dialogi i poszczególne zwroty, a wszystko to tchnie swoistego rodzaju autentyzmem, który każe nam wierzyć w ścisłość i dokładność tych wspomnień. Nieumyślny komizm wynika z kontrastu między uczuciem szczerego uwielbienia dla marszałka, jakie ożywia autora, a treścią tej książki.

Wiadomo, że ukazanie się tego dzieła wywołało małą konsternację w obozie pomajowym, jakiś czas było ono nawet wycofane z obiegu, ostatecznie jednak zdecydowano się na opublikowanie. **Piłsudczyzna**, że użyje zwrotu Nowaczyńskiego, **była chemicznie wyprana nie tylko ze zdrowego rozsądku i zmysłu rzeczywistości, lecz także—z poczucia śmiešności**. Nawet to ich nie otrzeźwiło i nie ostrzegło, że niektóre pisma opozycyjne przedrukowały całe ustępy z tej książki, naturalnie bez żadnych komentarzy. Były one zresztą zbyteczne.

Jeżeli **“Wielka Bzdura”** jest klasyczną tragedją Piłsudczyzny, to **“Strzepy meldunków”** możnaby przyrównać do komedji rodzinnej. W istocie widzimy tam marszałka w gronie sanacyjno-legjonowej rodzinki, załatwiającego sprawy państwowe.

Jest to smutny, miejscami grozą przejmujący obraz, jeśli pomyśleć o tym, że to był absolutny władca kraju, wielkość pochowana na Wawelu. Ten lichy kabotyn, stary “samodur” najmarniejszego gatunku, pogrążony całkowicie w drobiazgach i dzieściorzędnych szczegółikach, dyskutujący godzinami o jakichś dodatkach funkcyjnych dla oficerów prowiantowych, żartujący i dowcipkujący głupawo, to rzygający karczemnymi wyzwiskami, to przybierający pozy gromowładnego Jowisza i grożący swemu ministrowi i wielbicielowi, że strąci go ze schodów, to znowu zmartwiony przewielebnie popsutym żołądeczkiem czy podwyższoną temperaturą Jagódki, rozdający nominacje na najwyższe stanowiska swoim lokajom i pachółkom z tajemniczą minką, z jaką dobra mama chowa pod poduszkę dzieciom pierniki od świętego Mikołaja,—nie, tego nie podobna oddać w streszczeniu, trzeba te “Strzepy” czy-



tać i czytać, żeby pojąć cały ogrom naszego upadku i nieszczęścia i zrozumieć skutki takich rządów.

Co zaś uderza tu najwięcej obok tej samej małości myśli i braku szerszych horyzontów—to **kompletna niezaradność**. Piłsudski przypomina tu do złudzenia nieumiejącą gospodynię, która nie umie sobie dać rady z prowadzeniem domu, z niesumiennością służby, z niesfornością dzieci: wszystko idzie na opak, marnuje się i niszczy, a pani domu miota się bezradnie jak wróbel na nitce, krzyczy, wymyśla, hałasuje, skarży się i żali przed całym światem; robi piekło o zbytecznie zapaloną zapałkę, a nie dostrzega stosu gnijącej bielizny. A już to Piłsudski lubił skarżyć się, a żalić—na wszystkich i wszystko, słuchając go, odnosi się wrażenie, że to on tylko jeden na całym świecie napotyka trudności i przeszkody, innym same pieczone gołąbki lecą do buzi. Najzabawniejsze jest to, że jego wielbiciele są zdania, że ich „**genjalny mąż**” wywiązał się całkowicie ze swego zadania swym żalonym kwileniem.

Pan Cat-Mackiewicz obwieszcza triumfalnie, że **marszałek skarżył się na nadmiar urzędników w państwie**. Tak, skarżył się! . . . Ale kochany panie redaktorku! Skarżyć się na biurokrację, to może pan na łamach swojego pisma, od czasu zwłaszcza, gdy przeszło do opozycji; to mogę ja, kiedy się zejść z kolegą w cukierni; bo my nic na to poradzić nie możemy. Ale kiedy ktoś robi zamach stanu i gwałtem zdobywa władzę, ten już nie ma prawa się skarżyć. Ten ma obowiązek działać i wiedzieć, co należy zrobić, by zło usunąć. **Co zrobił Piłsudski, aby temu zaradzić?** Mało powiedzieć, że nic, bo właśnie za jego rządów biurokracja wzrosła i spotężniała, a etatyzm doszedł do szczytu. Powie pan, że to się stało wbrew woli marszałka? Gdzież tedy jego ta-

lenta organizacyjne, gdzie ten “genjusz?” Ale niech będzie i tak. To wobec tego powinniśmy byli widzieć z jego strony choć jakieś wysiłki, jakieś, niestety, nieudane próby w tym kierunku. Otóż i tego nie było: na miejsce **jednego wyrzuczonego “endeka”** **wsadzano pięciu sanatorów**: to chyba nie walka z biurokracją. Ale to drobiazg, nie prawdaż? Grunt to, że marszałek się poskarżył, panu Mackiewiczowi to wystarcza. I rzeczywiście . . . tak . . . między nami mówiąc, trudno od tego “genjalnego męża” żądać czegoś więcej. Kto z jakim takim zrozumieniem przeczytał kilkanaście stron “Strzępów,” nie ma co do tego najmniejszych złudzeń.

Jeszcze jedna osobliwość godna wzmianki—to **język Piłsudskiego**. Mniejsza o lubowanie się w ekskrementalnych sprośnościach, co ma imitować “żołnierską tężyznę!” mniejsza o to ciągłe “ja” przy czasownikach, niezgodne z duchem polszczyzny; uderza w nim jeszcze coś innego—stała dążność do przekręcania wyrazów, jakieś cudaczne przedrzeźnianie niewiadomo kogo, niby to zabawne czy złośliwe, djabeł wie zresztą poco to i naco . . . Co to znaczy **“partjów kawalek?”** Po jakiemu to? Kogo to ma imitować czy wydrwiwać? Albo: **“Ja jestem chytra Litwina”**—przytacza Składkowski słowa marszałka. A to znów po jakiemu? Bo tak nie mówi nikt na świecie, ani w Polsce ani nawet na Wileńszczyźnie. Podobne zjawisko można zaobserwować chyba u niedorozwiniętych dzieci lub w zakładach psychiatrycznych przy pewnego typu schorzeniach mózgowych . . . A propos, warto przypomnieć, że pewnego razu “Kurjer Poznański” przedrukował bez żadnych komentarzy ustępy z **“Psychologii”** Witwickiego, dotyczące objawów paranoi i koprofalji: **pasowały**

**tak dokładnie do osoby Piłsudskiego, że uległy konfiskacie. Sapienti sat.**

UWAGA: Sporo prawdopodobieństwa zawiera szeptem wypowiedziane przypuszczenie, że Piłsudski był syfilitykiem w stadjum paraliżu postępowego. Przemawia za tym kilka okoliczności. A więc po pierwsze . . . sam Piłsudski z jego niepohamowanie rozpyskowaną gębą starej przekupki wygadał się w znanym wywiadzie z tym, że około 1928 roku lekarze badali mu dno oka. Jest to bardzo typowe badanie dla wykrycia objawów trzeciorzędowej kiły, która często atakuje nerwy wzrokowe. Powtóre—wiele znamienych cech charakteru “wielkiego męża”—jego znana megalomanja, napady manji prześladowczej, (ciągłe skargi i lamentsy na “wrogów” i “karłów;” zastrzeżenie żandarma w ogrodzie Belwederskim), dzikie, nieobliczalne wyskoki, w których tchórzliwa małoduszność idzie w parze z “wściekłym ryzykanctwem,” wspomniane plugastwo języka (koprolalja): wszystko to są znane i wielokrotnie opisywane objawy paraliżu postępowego. Dalej—przedwczesna zgrzybiałość Piłsudskiego. Fotografje z ostatnich lat jego życia dają obraz kompletnej ruiny ludzkiej, nadającej się do szpitala lub przytułku dla nieuleczalnych, lecz nie do rządzenia państwem. A przecież Piłsudski nie był znów tak stary. Nie trzeba dodawać, że ta choroba, jeśli to przypuszczenie odpowiada prawdzie, była jedną z najważniejszych strzeżonych “tajemnic stanu” pił-

sudczyzny. Te kłopoty i szykany, jakie spotkały osobistego lekarza marszałka D-ra Wojczyńskiego, uwięzionego ponoś “za zdradę” (ale czego?)—są jedną poszlaką więcej.

Praktyka szła równomiernie z teorią—tę konsekwencję trzeba piłsudczyźnie przyznać. To znaczy: rząd Piłsudskiego nie rozstrzygnął żadnego poważnego zagadnienia, nie rozwiązał żadnej trudności, żadnego problemu naszego bytu państwowego; nawet nie próbował tego zrobić. Rzecz charakterystyczna, że za życia Piłsudskiego było pod tym względem gorzej, niż po jego śmierci. Nie znaczy to, aby rządy Kościałkowskiego i Składkowskiego naprawdę coś pożytecznego zdziałały: były to raczej pozory, robota “na niby,” dla zamydlenia oczu, nieudolna i niemrawa; ale bądź co bądź widziało się od czasu do czasu coś jakby przebłycki zrozumienia sytuacji, jakby “*lucida intervalla*” w ciężkim stanie umysłu sfer rządzących. **Dopóki Piłsudski żył**,—to był jeden mrok, jedna beznadziejność, jedna ponura groteska rządu, **jeden szpital warjatów . . .**

Dla ilustracji tych “genjalnych poczynań” rozpatrzmy tę dziedzinę, na którą Piłsudski zagwarantował sobie bezpośredni i wyłączny wpływ, którą najwięcej się interesował i w której był “specem” nad “spece:” **wojsko, armję.** To było jego “**oczko w głowie,**” wszak armji zawdzięczał swoją “**bajeczną karierę,**” ona też utrzymywała jego rządy. Wojskiem marszałek rządził wszechwładnie, chroniąc je zazdrośnie od wszelkiej postronnej ingerencji, nie dopuszczając żadnej kontroli czy krytyki: “nieznani sprawcy” byli zawsze w pogotowiu . . .

I tak, kiedy urzędnicy Najwyższej Izby Kontroli Państwa zaczęli raz za razem wykrywać krociowe

i milionowe nadużycia i defraudacje w armji, to Piłsudski wynalazł na to zło sposób, którym od jednego ukręcił łeb hydrze. **Około 1930 roku na żądanie marszałka odebrano Izbie prawo t. zw. "rzeszowej kontroli" wydatków wojskowych;** mogła sobie sprawdzać tylko kwitki, tam było na pewno wszystko w porządeczku; ale co za te pieniądze kupiono, w jakiej ilości i jakości, gdzie są te przedmioty i w jakim są stanie—od tego wara cywilom! **I odrazu ustały w armji nadużycia i kradzieże, jak nożem uciął.** Doprawdy, genialny w swej prostocie wynalazek, możnaby go opatentować, gdyby nie to, że marszałka ubiegły w tym dawno . . . strusie. One też podobno zamykają oczy w wypadkach niebezpieczeństwa, wychodząc z założenia, że czego nie widać, tego niema.

Tak się już u nas utarło, że o armji można było mówić tylko w superlatywach, zachłystując się z zachwyty i podziwu. Niektórzy zwolennicy marszałka, niepozbawieni ze szczętem rozsądku i uczciwości, przyznawali, że w wielu dziedzinach naszej państwowości panują chaos i nadużycia: to dlatego, że Piłsudski, ich zdaniem, nie miał "zmysłu dla tych spraw." **Za to armja jest znakomicie zorganizowana.** Trzeba było wierzyć w to na słowo, bo nie było żadnej bezstronnej kontroli, żadnego niezależnego sprawdzania. W sanacyjno-ozonowych sejmach dyskusja nad budżetem Ministerstwa S.W. była jednym peanem pochwalnym, **jednym hymnem uwielbienia:** wszystko tam było doskonałe, nieporównane, wspaniałe; nie było niedostatków ani skaz na tym kryształach.

I to właśnie dla ludzi rozsądnych było niepokojące. Bo, jak ogólnie wiadomo, doskonałości absolutnej niema na tym biednym świecie. Doskona-

ły jest tylko Bóg, ale i tego naocześnie stwierdzić nie można, w to trzeba wierzyć. Otóż nie każdy mógł uwierzyć w marszałka i jego robotę. **Był to majster do robienia burd, siania niezgody i dezorganizacji;** talentu organizacyjnego nie wykazał nigdy i nigdzie. Spokojnie, celowo i konsekwentnie pracować nie umiał. Nie odróżniał nigdy rzeczy istotnych, zasadniczych od dziesięciorzędnych szczegółów, nie umiał nigdy przeprowadzić ścisłej granicy między interesem publicznym a osobistymi chimerami i zadrażnieniami plugawej ambicyjki. Na “współpracowników” i najbliższych “doradców” wybierał zawsze ludzi głupich i marnych. Tak też pracował nad armją, jak go było stać. Ostatnia wojna wykazała to dobitnie i niezbitnie. Ta doskonałość naszej armji okazała się jeszcze jedną fikcją, jeszcze jedną blagą i hochstaplerstwem piłsudczyzny.

Na czym polegała “opieka” “wielkiego marszałka” nad armją?—Jak wszędzie gdzieindziej na czoło wysunął się problem personalny z dodatkiem budżetowym, ale również personalnie-budżetowym. **Za najpilniejsze zadanie uważał Piłsudski wynagrodzenie oficerów za rokosz majowy** podniesieniem poborów i dodatkami funkcyjnymi. Dzięki temu budżet Ministerstwa S. W. wzrósł niepomniernie—pod koniec **pochłaniał bodaj dwie trzecie ogółu dochodów państwowych;** ale był to w lwiej części budżet konsumpcyjny. Pan kapitan czy major—często dwudziestoparoletni młokos—miał pensję większą, niż profesor uniwersytetu, zawodowy sierżant był lepiej sytuowany, niż nauczyciel szkoły średniej z pełnymi kwalifikacjami naukowymi i zawodowymi.

Ale do podniesienia poziomu armji to nie przyczyniło się bynajmniej. Na tym, że panowie oficerowie mieli za co dzień w dzień po knajpach wódkę

chlapać, armja niewiele zyskała. A kiedy ze względu na konieczność utrzymania równowagi budżetu **obcięto urzędnikom pobory**, apelując do ich uczuć obywatelskich i patriotyzmu, **to panom oficerom na wyraźne żądanie marszałka pozostawiono uposażenia nietknięte**. Niezbyt to doprawdy zaszczytne wyróżnienie: czyżby ten "głęboki znawca duszy żołnierza" nie dowierzał patriotyzmowi i uczuciom obywatelskim swych podwładnych?

Druga troska Piłsudskiego—to zrobienie z armji pewnego rodzaju pretorjańskich kohort na użytek własny i reżimu. Następuje z jednej strony masowe **obsadzanie najwyższych stanowisk w armji "swoimi" ludźmi**, oddanymi sobie eks-legjonistami, "nieznanymi sprawcami" i innymi zasłużonymi dla reżimu, z drugiej—równie masowa "czystka," wyzbywanie się elementów niepewnych. Rzecz prosta, zawodowe kwalifikacje nie odgrywały przytem najmniejszej roli: gdyby tak było, to redukcje musiałyby marszałek zacząć od siebie.

Wręcz odwrotnie, rozpoczęła się istna nagonka na oficerów byłych armji zaborczych, a więc ludzi jako-tako fachowo wyszkolonych, których zwalniano się masowo, najwyższe zaś i najbardziej odpowiedzialne stanowiska obejmują dyletanci bez żadnego teoretycznego przygotowania, którzy w normalnych warunkach mogliby co najwyżej dowodzić plutonem; teraz awansują w zawrotnym tempie, aż się zaroiło od pułkowników i generałów wszelkiego autoramentu. Ilu zaś znakomitych, oddanych swej pracy i zdolnych oficerów pożegnało się z armją, tego nikt nie przeliczy. Kiedy zabrakło dygnitarstw wojskowych, zaczęto pułkownikami i generałami obsadzać stanowiska administracyjne i inne—robiono ich wojewodami, starostami, dyrektorami banków i przed-



siębiorstw, ministrami i kierownikami departamentów. Zwykle taki “odkomenderowany” pan brał nadal swą pensję wojskową, a prócz tego—pobory związane z nowym stanowiskiem: było z czego żyć i używać. A jeśli który zatruł się alkoholem i przeniósł się na łono Abrahama, to pisało się patetycznie, że “zmarł w służbie dla ojczyzny” . . . Bodaj, to wszystko było ich “służbą!” . . .

Pod koniec zresztą te sporadycznie zalewające armję fale nominacji i dymisji zaczęły robić wrażenie zgoła niesamowite: były to jakieś psie figle, nieobliczalne wysoki, kapryśne fantazje,—ciosy na oślep, które wywoływały głębokie zdumienie i kompletną dezorientację. Zdarzyło się, że oficer, wyróżniający się zdolnościami i walorami służbowymi i jako taki wysłany na wyższe studia do akademii wojskowej, a nawet za granicę, bezpośrednio po powrocie do pułku otrzymywał dymisję; inny, mający na karku dwa dyscyplinarne dochodzenia, dostawał awans. Nawet “polityczna opinia” przestała być sprawdzianem i busolą . . . **W wojsku nastał okres paniki i konsternacji**, nikt nie był pewny dnia ani godziny. Oficerowie uczyli się na gwałt pisania na maszynie, stenografji, buchalterji, i t. p., a zaniebdywali swe obowiązki, pogrążeni w zupełnej nieświadomości, jaki będzie i od czego zależy ich los.

No, wiadomo, marszałek lubował się w “zaskakiwaniach,” to była jego specjalność, bodaj jedyna. Jak należy oczekiwać, w kołach oficerskich przypuszczano, zapewne nieraz nie bez racji, że przyczyną tych posunięć były donosy, tajemne wpływy, protekcje i “topienie”—i oto głęboka nieufność opanowała cały korpus ficerski. Ludzie bali się szczerze rozmawiać ze sobą, drżeli przed każdym nieostrożnym słowem, wyścigali się w okazywaniu lojalności

i wierności i wiernopoddaności, podejmowali się ohydnych funkcji w rodzaju "politycznych napadów," nienawidzili się przytem wzajemnie, gotowi jeden drugiego w łyżce wody utopić. Przypominam sobie słowa pewnego oficera, wypowiedziane, rzecz jasna, "w cztery oczy" i w zupełnym zaufaniu do mej osoby: **"Gdyby mi pozostał tylko jeden nabój w karabinie i gdyby stanęli przede mną: hakatysta-hitlerowiec, bolszewik, wściekły pies i piłsudczyk, to bez wahania palnąłbym w łeb temu ostatniemu!"** Oto te "moralne walory," jakie wzbudzał w duszy swych podwładnych "wielki marszałek."

Podobno Piłsudski chciał z naszej armji wypłenić wszystkie obce żywioły, usunąć oficerów przesiąkniętych obcą tradycją, a miejsce ich zapłenić nowym narybkiem, ludźmi, którzy urodzili się w wolnej Polsce i nie pamiętali czasów niewoli . . .

Wyobrażał sobie zapewne, że ci będą **podatniejsi na działanie legjonowej legendy.** Tak, tylko kto miał wychować i wykształcić tę młodzież? Czy umundurowani karjerowicze-politykanci? Czy legjonowi dyletanci? Czy "nieznani sprawcy?" Czy ci dyrektorzy banków i wojewodowie w wojskowych mundurach? Czy wreszcie sam "wielki marszałek," który jako żywo nigdy żołnierzem nie był?—Wychowali ich wszyscy potroszę,—i wychowali po swojemu . . .

Opowiadał mi ksiądz-staruszek, przybyły z Małopolski, jak to się działo na plebanji, gdzie stali kwaterą w czasie ostatniej wojny oficerowie polscy i niemieccy. Obie strony stały tylko jedną noc, bo nad ranem Polacy musieli uciekać, gdyż Moskale — deptali im po piętach. Niemcy spożyli skromny posiłek i całą noc przesiedzieli nad mapami; polscy oficerowie urządzili sobie popijachę na całego, krzy-

czeli, śpiewali, gwizdali, wyli i pili kogucimi głosami, żeby nie wspominać o reszcie . . . To jakbym widział “starszą legjonową” w Kielcach, w monopolu spirytusowym, roku pańskiego 1914-go; o tym to ja sam mógłbym coś opowiedzieć.

Kwestją **zaopatrzenia armji w nowoczesny sprzęt wojskowy** Piłsudski interesował się bardzo mało. Składkowski opowiada w “Strzępach,” jak to wielokrotnie i bezskutecznie próbował zakomunikować marszałowi Piłsudskiemu wiadomość, że armja polska wreszcie otrzymała jednolite karabiny. Marszałek jednak był ciągle czym innym zajęty. Nie miał czasu na drobiazgi. Za jego “panowania” prawie nic się na tym polu nie zrobiło. Lotnictwo pod rządami generała Rayskiego miało nieliczny i skandalicznie staroświecki sprzęt (t. zw. **latające trumny**) i było w kompletnym rozstroju. Warto nadmienić na boku, że **nasz “naczelný wódz” nigdy nie wsiadł na aeroplan**, prawdopodobnie z tchórzostwa. Co do broni pancерnej,—to mawiali zaufani—marszałek “nie ma zrozumienia” dla takiego sposobu walczenia. Twierdził, że z kolumnami tanków będzie walczył konnicą.

To był nasz **“naczelný wódz!”** Kwestją motoryzacji także nikt się nie wzruszał. Co prawda, to oni sami, nasi “wielkorządcy, byli **zmotoryzowani** znakomicie na koszt państwa, oczywiście. Prezydent Mościcki miał ponoś dwadzieścia pięć aut do rozporządzenia (prezydentowi Hindenburgowi wystarczyły dwa), marszałek—pięć (wiadomo, skromny człowiek!), wszyscy inni także sobie nie żalowali. Switalski rządowym autem pojechał na wakacje do Haicable, a Składkowski sam autem kierował i nawet dziecko na ulicy rozjechał. A to, że Polska stała niemal na ostatnim miejscu pod względem ilości

posiadanych pojazdów motorowych, że nikt prawie nie umiał obchodzić się z maszyną,—że długi czas wysokie cła, idjotycznie złodziejski “fundusz drogowy” i nieczyste manipulacje w branży przemysłu samochodowego utrudniały, a nawet cofały w postępie rozwój naszej motoryzacji, — i to, jak tego rodzaju stan w połączeniu ze skandalicznym drogostanem odbija się na działaniach naszej armji w przyszłej wojnie,—to wszystko były głupstwa, którymi “naczelnny wódz” nie zaprzętał sobie głowy. Wolał się bawić w “wojskowe gry,” w których zawsze odnosił zwycięstwa, podczas gdy nieliczni doświadczeni oficerowie, którzy się jeszcze jakimś cudem w armji uchowali, odwracali twarze, by nie parsknąć śmiechem na widok tej błazenady.

Dopiero po śmierci Piłsudskiego datują się pilersze, lęklive i niezdarne, posunięcia rządu, aby temu złu zaradzić. Ale już było za późno, poza tym złodziejsko-protekcijny system był już tak rozbudowany i utrwalony, że przy najlepszych chęciach można było zrobić bardzo niewiele. A tych chęci także nie było.

W Niemczech młode dziewczęta pilotowały aeroplany; u nas motocykle pozostawiono ich właścicielom, bo w wojsku nie było ludzi, umiejących je prowadzić. Lotnictwo zbyt nieliczne i, jak się okazało, po staremu zdezorganizowane; na okrasę—parę małych tankitek . . . Niemcy wozili swą piechotę na autach ciężarowych i traktorach, podczas gdy nasi chłopcy odwalali czterdziestokilometrowe marsze, aby na plac boju przybyć bez sił i zawsze za późno. Tabor naszych pułków—to były chłopskie wózki na drewnianych osiach, zaprzężone w liche szkapiny: tak widziałem, jak wymaszerował piąty pułk z Wilna. W czwarty dzień wojny—dosłownie: w czwarty

**dzień!**—rozpoczęto w Wilnie zbiorkę starej bielizny na szarpie i bandażę. Oto jaka była przygotowana do wojny nasza armja!

Marszałek—jasnowidz postawił na swoim: **kolunny tanków atakowaliśmy konnicą.** Jak w Abisynji . . . Skutek—wiadomy.

Tak działo się w “umiłowanej” przez marszałka armji, otoczonej jego szczególną troskliwością i opieką, która stała się istnym “tabu” naszej państwowości. Co było w innych dziedzinach, dla których marszałek “nie miał zrozumienia” i które oddał na pastwę swoim “zasłużonym?” O tym lepiej nie myśleć.

W szkolnictwie, które ma się pono troszczyć o wykształcenie społeczeństwa, najwyższe stanowiska zajęli ludzie bez kwalifikacji naukowych, **politykierska chuliganerja ze Związku Nauczycielstwa Polskiego**, który jakiś czas nazywano “nieoficjalnym Ministerstwem Oświaty.” Bywały kuratorja, na czele których stał nauczyciel szkoły powszechnej (Szelągowski, Godecki), a rzadko który z wizytatorów i naczelników wydziału miał wyższe wykształcenie. To obowiązywało tylko nauczycieli. “Wyższe stanowiska są już zajęte, a do niższych potrzeba kwalifikacji,” tak się to u nas żartowało.

Ton całemu szkolnictwu, włączając w to uniwersytety, nadawała szkoła powszechna. Słynna reforma szkolnictwa, przeprowadzona przez dwóch **legjonistów—nieuków**, braci Jędrzejewiczów, zmieniła szkoły średnie w rozsadniki ignorancji i dyletanizmu, chodziło bowiem o to, że **im głupszy będą uczniowie, tym łatwiej dadzą w siebie wmówić “państwową ideologję,”** którą im nabijano głowy. Na uniwersytetach, pozbawionych autonomji, decydowały o stanowisku względy polityczne. Gdy te we-

szły w grę, nie wahano się usuwać z katedry najtęższych uczonych (prof. Kot), a wpychać na czoło takie miernoty, jak, żeby nie szukać daleko, p. Witold Staniewicz lub ostatni rektor naszego uniwersytetu wileńskiego, pan Ehrenkreutz, z którego naukowości podrwiwają—i słusznie—słuchacze pierwszego roku.

Ale pan Ehrenkreutz miał nie byle jakie **“zasługi:”** raz, że **sprzedał swe “postępowe,” “socjalistyczne” przekonania** i **“uwielbił” marszałka**; powtóre, że **jeden z braci Jędrzejewiczów uwiódł mu żonę**. Zdradzonemu mężowi należą się pewne względy, tymbardziej iż był to i tak nielada cios dla p. Ehrenkreutza, który do spółki z żoną miał coś czternaście posad dobrze płatnych; teraz, biedaczysko, musiał się zadowolić ośmioma czy nawet siedmioma. Za to p. Jędrzejewicz, podówczas minister Oświaty, zamianował panią eks-Ehrenkreutz, a teraz panią Jędrzejewiczową zwyczajnym profesorem na uniwersytecie warszawskim i głównym kustoszem jakiegoś muzeum i jeszcze tam czymś na dodatek: to była, jak widać, dojna krówka ta pani Cesia primo voto Ehrenkreutzowa, a secundo — Jędrzepewiczowa, warto ją było odbić mężowi! Z taką się ożenić —i parę tysięcy złotych miesięcznego dochodu—murowanych. Mężulek miał także pensyjkę ministerjalną, potem emeryturkę dożywotnią także niezgorszą, nie licząc przygodnych zajęć, jak organizacja wystaw z djetami w zagranicznej walucie—ech, umieli się urządzać ludziska w tej naszej Polsce, aż ślinka cieknie . . . **I jak tu nie wielbić marszałka? . . .**

To jeden z wielu takich skandalików, ale jakże znamienny: tkwi w nim w lapidarnym skrócie cała piłsudczyzna z jej **“ideologją:” gruba, plugawa, brudna rozpusta na koszt państwa**. Ale to też szło od

góry: panu prezydentowi Mościckiemu także zachciało się na starość młodej baby, **rozwiódł ją z mężem, ożenił się, a potem sejm przyznał jej prawo do dożywotniej emerytury**: ten sam cynizm, ten sam brud. Jedna tylko pociecha, że pani Mościcka nie dostanie tej emeryturki . . . Ano, baba strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Jeszcze ohydniejsze stosunki panowały w sądownictwie, **gdzie złamano zasadę niezawisłości i nieusuwalności sędziów**, pusuwano ludzi uczciwych, a wprowadzono bandę łotrów, karjerowiczów i zastrachanych słabeuszów, którym można było zgóry dyktować wyroki. Tak ohydne parodje "sprawiedliwości," jak proces **więźniów Brzeskich**, proces **Wujcika, Doboszyńskiego, Cywińskiego** i tyle innych, wyrwały niezatarte piętno hańby i nikczemnej służalczości na czole naszego sądownictwa i podały je w powszechną pogardę. Pod koniec nasze sądy stały się drugą odmianą instytucji "nieznanych sprawców," niby jej wyższą instancją: zmasakrowanemu człowiekowi wytaczano proces i skazywano go na kilka lat więzienia. Odpowiedni paragrafik zawsze się znalazł, w razie potrzeby wmawiało się w ludzi takie absurda, **że słowa prawdy o Piłsudskim są obrazą narodu polskiego**. Sprawa Parylewiczowej była błyskawicą, która na moment oświetliła posępne zakamarki naszego sądownictwa, pełne zgniłych wyziewów, protekcjonizmu, korupcji i łapownictwa.

Ale to, co zobaczyliśmy, nawet najdalej idące wnioski z tego migawkowego zdjęcia, są tylko drobnoucznym ułamkiem "rzeczywistej rzeczywistości." Nie pozwolono nam oglądać tego widowiska, zapewne ze względów pedagogicznych. Parylewiczowa nieogłędnie wygadała się, że dużo wie i nikogo nie będzie oszczędzać przed sądem. **Podpisała na siebie**



wyrok śmierci, bo do tego mafja nie mogła dopuścić. To wszyscy rozsądni ludzie z góry przepowiadali i nikogo chyba nie wprowadziło w błąd to **“świadcstwo naturalnego zgonu,”** podpisane coś przez siedmiu lekarzy. Mogło ich być siedemnastu, teźby nic nie pomogło. Kiedy notoryczny recydywista—skrytobójca przedstawia zbyt **“murowane”** alibi, wzbudza tym większą nieufność.

W administracji i samorządzie, gdzie nastął okres panowania sołdateski,—bezpośrednio przed wojną bodaj jeden wojewoda Biłyk nie był pułkownikiem czy generałem—aż się roiło od typów z pod ciemnej gwiazdy podejrzanych indywiduów z kryminalną przeszłością i agitatorów kominternu: **ci byli najwierniejszymi poplecznikami systemu, ci najgłośniej i najbezwzględniej wielbili marszałka.** Ileż to złodziejstw i matactw, ile nadużycia wytykała dzień w dzień opozycyjna prasa, a ileż więcej musiała przemilczeć w obawie przed cenzurą! **Nie było miasta ani wsi, gdzieby się nie działy skandale i łotrstwa o pomstę do nieba wołające.** Ze tego rodzaju rządy prowadziły do coraz głębszej i powszechniejszej demoralizacji społeczeństwa, na to nie trzeba lepszego dowodu, jak zastraszący wzrost przestępczości: kradzieże, zabójstwa, gwałty i oszustwa zalały cuchnącą falą cały kraj: jakby ktoś olbrzymi gnój wychlusnął. Pomimo kilku amnestji i zwyczaju karania **“z zawieszeniem,”** więzienia były wciąż przepełnione, a wielu skazanych nieodbywało kary z powodu braku miejsca. Ale czy jest w tym coś dziwnego, że prosty człowiek uczył się i wyciągał logicznie uzasadnione wnioski? Skoro widział złodziei, defraudantów, rozpustników i bandytów na najwyższych stanowiskach, obwieszonych orderami, rozbijających się luksusowymi autami, to, rzecz prosta, i jemu przychodziła

chęćka popróbować tego fachu. Na to nie było rady. Coraz większy niepokój ogarniał serca ludzi: do czego idziemy, czym się to skończy?

Jeden tylko marszałek "rządził," nie przyjmując do wiadomości żadnych ostrzeżeń, wściekle zadowolony ze swoich Sławków, Prystorów, Switalskich, Jędrzejewiczów, Mościckich i Składkowskich. Co prawda był w trudnej sytuacji, bo **żaden uczciwy i rozumny człowiek nie zgodziłby się z nim współpracować** i brać na siebie odpowiedzialność za to rozkradanie i gubienie Polski, nawet gdyby mu to proponowano. Ale nie było o to obawy, marszałek ufał tylko "swoim" . . .

Ci "swoi"—to był ostatni szaniec oporu, ostatni schowek wielbicieli marszałka, gdy ich przypierano do muru faktami, którym nie mogli zaprzeczyć. **Marszałek—dowodzili—jest niewinny, on o niczym nie wie, to wszystko robi ta klika,** która go otacza i oszukuje na każdym kroku, ukrywając przed nim faktyczny stan rzeczy, on sam jest jak ten baranek wielkanocny, który poświęca się za Polskę. Nawet ukuli sobie taki "dowcipuszek:" czem Piłsudski różni się od piłsudczyków?—tym, czem grand (hiszpański) od grandy.

Tym wszystkim obrońcom "wielkiego samotnika" chcę zaproponować pewną umowę, żeby się ostatecznie porozumieć. Niech się zastanowią i sami rozstrzygną, kim był ich zdaniem Piłsudski?—genjalnym mężem, lub choćby tylko normalnie rozwiniętym człowiekiem, czy też półidjotą? W pierwszym wypadku ich obrona jest niezrozumiała i nie do przyjęcia. **Normalny bowiem człowiek, nie mówiąc już o geniuszu, nie pozwoli się tak łatwo oszukać.** Nie było nic prostszego, jak dobić się prawdy: wystarczyło w ciągu paru tygodni czytać ze dwa

opozycyjne pisma, a zwłaszcza wszystkie skonfiskowane artykuły, gdzie było właśnie najwięcej prawdy. To nie taka wielka sztuka—i czasu zabraloby mniej, niż ułożenie jednego “marszałkowskiego” pasjansa. A więc ta alternatywa odpada. **Pozostaje ta druga.** Jeśli na nią przystajecie, kwituję z dalszej dyskusji. To mi wystarcza.

I jeszcze jedno: głęboka znajomość ludzi i umiejętność wyzyskiwania ich zdolności jest jedną z najistotniejszych cech genjuszu czy talentu czynu. Kto twierdzi, że Piłsudski był genialnym mężem, ale że nie umiał sobie znaleźć współpracowników i wykonawców, ten albo nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi,—albo jest wierutnym głupcem, z którym nie warto wdawać się w dyskusję. Bo to jest coś podobnego, jakby ktoś dowodził, że pan X gra doskonale w szachy, tylko nie wie, jak poruszają się figury; albo że pani Y jest znakomitą pianistką, tylko nie wie, którym palcem i w który klawisz należy uderzyć, aby wydobyć pożądaną ton. Nad tym nie trzeba się chyba długo rozwodzić: trudno żądać od naczelnego wodza, aby osobiście prowadził każdą kompanję do ataku; albo od ministra spraw wewnętrznych,—o ile nie jest kretyńcem—aby wizytował sklepy i sprawdzał, czy urzędnicy regularnie przychodzą na zajęcia; albo od dyrektora szpitala, aby sam robił opatrunki i wnosił nocniki pacjentów. Od takich czynności są niżsi funkcjonariusze. Rzeczą kierownika jest należyty dobór tych ludzi—jest to jednocześnie niezawodne kryterjum jego zdadności. **Jeśli je zastosować do osoby Piłsudskiego i tej zgrai głuptasów, niedouków, próżniaków, nałogowych pijaków i złodziei grosza publicznego, jaką się otoczył, to rezultat jest jasny.** Czy możecie sobie na przykład przedstawić pana Sławoja-Składkowskiego w oto-

czeniu Bismarka? Chyba w roli czyściciela klozetów pałacowych,—oto jedyna funkcja, do którejby się nadawał i którą Bismark mógłby mu powierzyć...

Nie, moi drodzy, ten wasz **“grand”** niema nic wspólnego z Hiszpanją, **wywodzi się od naszej rodzinnej grandy**, a oznacza to samo, co **“prowodyr grandy.”**

## XXVI

**“IDEOWOŚĆ”** piłsudczyzny nie wyszła nigdy poza owe **“niesprawiedliwości,”** w imię których podnieśli rokosz; nieudane **“przewekslowanie”** na tory **“nieprawości”**—to był jedyny, pierwszy i ostatni odruch przyzwoitości jaki ujawniła klika w ciągu całego swego istnienia. Niezdarny, oszukańczy, skłamanym odruch, ale jednak coś w rodzaju wstydu.

To może dlatego, że jeszcze wówczas, świeżo po zamieszkach nie czuli się bardzo pewnie na siodle; jeszcze nie ogłupiła ich i nie spodliła doszczętnie władza i rozumieli choć to, że dobry apetyt nie jest kwalifikacją na **“władcę”** i nie wystarcza do sprawowania rządów w państwie. W miarę jak mijały miesiące i lata, wzrastała pewność siebie i niesłychany tupet żarłocznej zgrai. Wbrew obawom, okazało się, że można tak rządzić i że się nie opłaca za nadto krępować. Doszli wreszcie do bezwstydu ostatniej ustawy uposażeniowej, na mocy której obcięli pobory stu—i dwustuzłotowe, aby dołożyć tym, którzy brali tysiące, nie licząc tego, co kradli mniej lub więcej **“legalnie.”** Skoro im się **“Polska za darmo nie dostała,”** to i oni nie powinni się Polsce dostać za darmo. Handelek—**“z rączki do rączki.”**

Ten **absolutny brak wszelkiej ideowości** wystąpił z potworną nagością w obu politycznych emana-

cyjach piłsudczyzny—w **“Bezpartyjnym Bloku”** i **“Obozie Zjednoczenia Narodowego”** (Ozonie).

Pierwsza z nich dłuższy czas nie zadawała sobie wogóle trudu, aby coś w tym rodzaju wymyślić—bodaj pozór jakiś. Przez jakiś czas chełpili się swą bezprogramowością. Kwestje poglądów, przekonań, zapatrywań były im zupełnie obojętne. Przyjmowano każdego—od arystokraty—konserwatysty do zdecydowanego komunisty, byleby: primo **uwielbiał i kochał marszałka**, secundo—**umiał zawsze na rozkaz z góry schować swe “przekonania” do kieszeni**. A zatem spodlenie się i wyrzeczenie swych przekonań było warunkiem *“sine qua non.”* Płacono dobrą posadą, wpływami albo zgoła monetą ze skarbu państwa. Na początku, kiedy pieniędzy było dużo i sporo posad wakowało po wyrzuconych *“anty państwowcach,”* nagradzano czasem hojnie. Niejeden zrobił na tym dobry interes. Taki nauczycielina szkoły powszechnej za plunięcie na swój *“demokratyzm”* zostawał odrazu wizytatorem, kuratorem, naczelnikiem wydziału. Jedyna kwalifikacja—to uwielbienie dla marszałka. To nietrudne i niewiele kosztuje, skoro już raz sprzedało się swoje *“ja”* parszywe.

Ale potem, gdy o *“fundusze”* było coraz trudniej, a wraz z postępem demoralizacji i pauperyzacji społeczeństwa ochotników na posadki przybywało coraz to więcej—*“honorarjum”* zeszło na psy. Zanim dali kontraktową posadkę za 100 złotych, kazali się sto razy ześwinić. Oto był *“polityczny program”* B. B. Gdy ich pytano, do czego zmierzają, jakie konkretne postulaty wysuwają w tym czy innym zakresie, odpowiadali, że **zrobią wszystko, co każe marszałek**. On, jasnowidz, wie wszystko dokumentnie, oni są od głosowania na rozkaz i fałszowania wyborów. Reszta ich nie obchodzi. Niech będzie

i tak: ale czego chce ten marszałek? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Marszałek milczał. Wytworzyła się sytuacja pewnej dowcipnej farsy, gdzie dwaj rzeźmieszkowie umawiają się ubić jakiś interes w mieście, do którego właśnie przybyli. Jeden z nich mówi tak do kolegi: "Ty jesteś wytwornie ubrany, będziesz odgrywał rolę szlachetnego rycerza, a ja będę twoim służącym. Pamiętaj, gdy się ktoś spyta, skąd przybywasz i w jakim celu, nie mów ani słowa, odwróć się z gestem urażonego dostojności; ja zaś w tej sytuacji zrobię tajemniczą minę, podniosę palec w górę i powiem: tsss! Zobaczysz, to znakomity sposób." Okazało się, że ta metoda działania wystarcza nietylko w farsie, lecz także w życiu państwowo-politycznym; tam posłużyła do drobnej stosunkowo kradzieży, tu—do ograbienia całego państwa.

Dopiero pod koniec swego istnienia, nagabywany ze wszech stron o "tajemnicę swej ideologii" i wydrwiwany niemiłosiernie, B. B. wykrztusił wreszcie swe hasło ideologiczne: państwo! **"Wszystko dla państwa!"** Ale ponieważ piłsudczycy już przedtem —i niejednokrotnie—**utożsamiali siebie i swój rząd z państwem**, to hasło to oznaczało w praktyce ni mniej ni więcej, tylko: **"wszystko dla nas."** Okólną drogą doszli więc do punktu wyjściowego, do owych "niesprawiedliwości" pierwszego dnia rokосу. I poza ten zaczarowany krąg nie wyszli nigdy.

Czymże był wobec tego ten "Bezpartyjny Blok?" Nie miał ideologii ani programu działania—nie był więc stronnictwem politycznym. Pan Cat-Mackiewicz, co prawda w terminie nieco spóźnionym, bo kilka lat po "skasowaniu" Bloku, rozwiązał tę zagadkę: oto, jego zdaniem, Blok był "ligą." Niech będzie "liga," o to się nie będę spierał. W jednym

tylko myli się szanowny pan redaktor: zdaje mu się, że przy pomocy tego terminu wybieli i usprawiedliwi działalność "Bloku," do którego sam należał. Stałe złudzenie piłsudczyzny, że takim czy innym słowem można zmienić istotę rzeczy. Ale nie zmienia się przez to nic, fakt pozostaje faktem: "Bezpartyjny Blok" był kloaką, do której ściekały się kanałami osobistych interesów męty i szumowiny ze wszystkich stronnictw, wszystko, co pozbawione sumienia, żadne karjery i monety per fas et nefas, cała kanalja, gotowa wystawić na sprzedaż swe "przekonania" i prosperować na koszt społeczeństwa. I to jest właściwa **"ideologia piłsudczyzny:** "ideologia" posadki, pensyjki, fundusiku, protekcyjki, krócej mówiąc—**pełnego koryta.**

"Bezpartyjny Blok"—**to mierzwa i gnój ludzki,** społeczny ekskrement, plugawe robactwo, ropiący wrzód na ciele Polski. Nie było tam "dobrych" i "złych," "uczciwych" i "przedajnych"—wszyscy byli jednacy—od Radziwiłła do Sanojcy.

Kto sam nie kradł, nie grabił, nie łamał praw boskich i ludzkich, ten pochwalał te zbrodnie i pokrywał je w miarę możliwości. Wszyscy byli podobni do siebie jak wszawe gnidy. Przynależność do tej "ligi" powinna być dzisiaj równoznaczna z wyrokiem śmierci cywilnej danego osobnika. Przypominam raz jeszcze ten charakterystyczny szczegół: **spalenie archiwum Bloku na rozkaz jego twórcy i wodza,** pułkownika Sławka. Znamienna i wiele mówiąca ostrożność. Ale nie powinna ona nas złudzić ani wwiesić w błąd. Cały "Blok" in gremio staje dziś przed obliczem narodu, **jako zgraja ludzi wyzutyk ze czci i sumienia,** naznaczonych piętnem występku, obarczonych winą za to nieszczęście, które na nas spadło.



## XXVII

**D**RUGĄ emanacją polityczną piłsudczyzny jest t. zw. "Obóz Zjednoczenia Narodowego" czyli "Ozon." Jest to nowe wydanie B. B., ale bledsze, bardziej anemiczne, nie tak zuchwałe i krzykliwe. Teraz już nie grożono przeciwnikom "łamaniem kości" a la pułkownik Sławek; nie splamił się też Ozon tyloma łajdactwami i łotrowstwami, co jego poprzednik. Lecz nie dlatego, żeby piłsudczyzna zmadrzała i wyrobiła się politycznie, o tym nie było mowy. Wynikało to poprostu ze zmienionych warunków. **Państwo było wyczerpane, społeczeństwo zubożałe tyloletnią gospodarką rabunkową, poza tym wyraźnie przesycone i zde gustowane załganą autoreklamą piłsudczyzny.** Ludzie rzygali formalnie z obrzydzenia, wszyscy już mieli tego pod uszy. Nie było też co kraść, wszystkie lukratywne posadki były oddawna zajęte przez "swoich." Już od paru lat rozpoczęła się grupowa i jednostkowa gryźnia przy opróżnionym korycie, gdzie nie było już miejsca dla wszystkich. Aby dopuścić nową świnię do koryta, trzeba było przedtem odpędzić inną solidnym kopniakiem w ryj. Stąd malkontenci i zniechęceni w pomajowej rodzinie—zjawisko dość kłopotliwe i zenujące.

Niektórzy przeżywali z tego powodu ciężkie kryzysy, jak pułkownik Sławek, który, od dłuższego czasu w "niełasce," palnął sobie w łeb: jedyny uczciwy czyn jego życia, szkoda tylko, że tak późno się na to zdecydował. Poza tym nie stało Piłsudskiego, nie było się za kogo chować. Wprawdzie postarano się o drugiego "marszałka,"—z tym najmniejszy kłopot, dość napisać "nominację;" ale to już nie było to samo. Nie to, żeby ten drugi mar-

szalek był gorszy od pierwszego, raczej naodwrot. Mniej w nim było warcholstwa, więcej miał taktu i poczucia przyzwoitości.

Jeżeli poza tym był umysłowym zerem, a w dziedzinie wojskowości—**legjonowym dyletantem**, to przynajmniej nie zdradzał się z tym przy każdej okazji i nie afiszował się tym na każdym kroku, jak jego “wielki” poprzednik; nie zdążył też skompromitować się żadną “literacką” elukubracją w guście “Pism, mów i rozkazów.” Ale co “pierwszy,” to nie “drugi.” Odgrzewany kotlet nie tak smakuje, powtarzany dowcip już nie bawi: na to niema rady, to jest prawo psychologiczne. Pomysłowość załganej reklamy wyczerpała się całkowicie na osobie “pierwszego,” który zgarnął dla siebie i zabrał do krypty pod wieżą srebrnych dzwonów wszystkie cnoty i zasługi w stopniu najwyższym, zwłaszcza te, których zgoła nie posiadał; dla drugiego marszałka został księżycowy odbłask. Sytuacja nie do pozazdroszczenia. Wprawdzie “sfery rządzące” robiły w tym kierunku, co mogły, i on sam, biedaczysko, wspinał się w miarę sił na szczudła “wielkości;” ale tego autorytetu nie miał, nie tylko w społeczeństwie, lecz także—przedewszystkiem—wśród “swoich.” A to pociągnęło za sobą poważne następstwa. Nie mogąc się oprzeć o “autorytet,” piłsudczyzna stanęła wobec konieczności sformułowania swej “ideologii” lub choćby tylko programu. Lecz to było zadanie, przerastające jej siły.

## XXVIII

**P** IŁSUDCZYŻNA w swej najgłębszej istocie była “legendą.” Ale nie dajmy się wziąć na lep pięknie brzmiącym słówkomy “**Legenda**” w danym wypadku oznacza również **to samo**, co **łgarstwo**, ani

na jotę mniej czy więcej. Wyszła cała z załganego, przereklamowanego do absurdu i obrzydliwości "czy-  
nu legionowego." **Nieudały wyskok pomyłonego  
spiskowca socjalistycznego z garstką podmiejskiej  
łobuzerji okrzyczano i wyolbrzymiono bez miary i  
granic, jako fakt stanowiący epokę w dziejach na-  
rodu:** to naiwnie-czelne łgarstwo posłużyło piłsud-  
czyźnie za legitymację do objęcia władzy na dro-  
dze zamachu i utrzymywania się przy niej przez dłu-  
gie lata.

To był cały "kapitał moralny," cały "wkład ide-  
owy," nic innego stworzyć nie byli zdolni. Cały czas  
żyli w zaczarowanym kole kłamliwej fikcji, która  
przesłaniała im rzeczywistość, omotywała ich ze  
wszech stron coraz ciaśniejszą siecią ułudy i samo-  
odurzenia, pozwalając im wierzyć i przekonywać  
drugich, że oni, tacy, jakimi ich Pan Bóg stworzył,  
ludzie marni, nieuczciwi, głupi, źli, często zdegenero-  
wani, byli i są "wskrzescicielami" i "zbawcami" Pol-  
ski, jedynymi uprawnionymi do sprawowania władzy  
pomimo braku wszelkiej kompetencji i powagi w rzą-  
dzeniu, pomimo bezwstydnego wyzyskiwania władzy  
dla osobistych korzyści.

"Czyn legionowy" i "zasługi marszałka Piłsud-  
skiego"—oto była Piotrowa opoka, na której zbudow-  
wali swój kościół. To czuli instynktownie: dlatego uz-  
nanie tego czynu stawiali zawsze jako nieodzowny wa-  
runek tym, którzy chcieli wstąpić w ich szeregi; dla-  
tego wpadali w bezprzytomną wściekłość i uciekali  
się do brutalnych gwałtów, ilekroć ktoś spróbował  
ten dogmat zakwestjonować, zapominając o starej  
maksymie: że kto swej prawdy broni pięścią, re-  
wolwerem i podkutym obcasem, ten się zdradza, że  
nie ufa jej wewnętrznej sile, ani swym argumentom.  
Musieli w to wierzyć, inaczej rozsypaliby się od wną-

trza, jak kupa nawozu. Ogłupiali się sami i zagłuszyli głos rozsądku krzykliwą reklamą, trąbiąc wciąż te same fałszywe i absurdy, a tracąc coraz to bezwzględniej kontakt z rzeczywistością, którą naginali i przystosowywali do swego 'credo.'

Co im było nie na rękę, to dla nich nie istniało, widzieli tylko to, co im dogadzało, a czego żadne zdrowe oko dopatrzyć się nie mogło. Słowem, a raczej kłamliwym, pustym, czczym frazesem zasłaniaли swe występki i zbrodnie; napuszoną gadaniną zastępowali realne czyny. Stąd lubowanie się w uroczystościach, "świętach," defiladach, paradach, akademjach, obchodach, poświęceniach i "przecięciach wstęg," w patetycznych mówkach, pełnych przesady i blagi. Każdy kilometr drogi, każdy drewniany mostek, przerzucony przez potok, każda setka położonych podkładów kolejowych, każda szkoła powszechna, każda z nieskończonego szeregu rocznic rozmaitych bitew i potyczek, każdy zjazd legionistów czy peowiaków, każdy nowy sztandar strzelecki, każde imieniny "wielkiego męża" dawały im sposobność do autoreklamarskich wiwatów, powinszowań i zachwyków nad wspinałymi "osiągnięciami" ich rządów. Zamykali oczy na imponująco szalone tempo prac inwestycyjnych i zbrojeniowych w innych krajach (Niemcy, Włochy, Rosja), wobec których nasze "osiągnięcia" wyglądały jak domki z klocków dziecinnych wobec piramid egipskich—i nic dziwnego: obracaliśmy na nie tylko to, co pozostawało z wysokich pensji tłumowi "zasłużonych," od subsydjów dla "swoich" organizacji, co ocalało wreszcie od złodziejskich łap czyhających zewsząd na grosz państwowo.

Ale o tym nie wolno było pisać ani mówić. Piłsudczyzna skłonna była do "świętego oburzenia,"

najwięcej zaś ze wszystkiego **lękała się i nienawidziła kontroli i krytyki**, choćby najbardziej rzeczowej. Kochała swą hochstaplerską fikcję, nie chciała jej utracić, bo to był zbyt dochodowy interes. Żyła w ciągłym zamęcie głowy i serca, w atmosferze logicznej niekonsekwencji i moralnego niechlujstwa, gdzie górnolotny frazes szedł ustawicznie w parze z nikczemnym czynem, gdzie łamanie i obchodzenie praw i bandyckie napady “niewykrytych sprawców” kojarzyły się z pojęciem “porządku” i “dyscypliny społecznej;” gdzie hańbienie oficcerskiego munduru łączyło się z propagandą miłości społeczeństwa do armji, a zasługi i poświęcenie się dla ojczyzny były wytrychem do skarbu państwa. Piłsudczyk—to typ romantyka w najgorszym tego słowa znaczeniu, to moralne i logiczne “*contradictio in adjecto*,” jakie spotyka się czasem w świecie przestępczym. Coś w rodzaju sentymentalnego złodziejaszka, bogobojnego rozbójnika, czy uczciwego szulera. Bywają tacy.

## XXIX

**T**O PODSTAWOWE, sięgające jej rdzenia zakłamanie zdecydowało o charakterze piłsudczyzny: była zawsze i pozostała do końca mafją, juntą, szajką, spiskiem. Na grząskim gruncie załganego frazesu niepodobna było zbudować żadnej ideologii, żadnego programu działania, obliczanego na dłuższą metę, żadnego trwałego, opartego o powszechne szanowane prawa ustroju. Nie **prawo**, lecz **przywilej**; nie ogólna zasada, lecz protekcyjny wyjątek; nie **dobro narodu**, lecz **interes “zasłużonych”**—z tym piłsudczyzna przyszła i z tym znikła. Nie zorganizowała się w stronnictwo i nie pociągnęła za sobą mas.

Droga szantażu, gwałtu, oszustwa i korupcji

umiała robić rozłamy w dawnych stronnictwach i opanowywać społeczne instytucje, przyciągając do siebie, jak magnes opiłki żelaza, wszystko, co było w nich marne, przedajne, niktzemne; **drogą fałszerstw i teroru policyjno-administracyjnego umiała fabrykować** “wołę ludności” przy wyborach; umiała też zakładać rozmaitego rodzaju “Strzelce,” “Legjony Młodych,” Z. Z. Z., “Związki Pracy Obywatelskiej” i inne “organizacje,” wiodące suchotniczą wegetację i utrzymujące się dopóty, póki starczyło obfitych subsydjów.

Ale—to nie były masy. **To były**—w najlepszym wypadku—**steroryzowane stada baranów prowadzone przez dobrze opłaconych szubrawców**, gotowych sprzedać się każdemu, kto zapłaci. To była także fikcja, jedna z przedłużonych w terażniejszość odnóg “czynu legjonowego.” Ale ta fikcja nie mogła się ostać ani na chwilę, gdy się ją porównało z potężnym rozmachem włoskiego faszystu czy niemieckiego narodowego socjalizmu. To rozumieli nawet piłsudczycy. Patrzyli biedacy i oblizywali się, nie wiedząc, jak się to robi takie cuda. Czasem wpadali w pasję i wymyślali wzorem “wielkiego samotnika” na “naród idjotów!” z takim narodem nic nie da się zrobić, nawet oni są bezsilni . . .

Tymczasem było to zjawisko najzupełniej normalne. Oddawna już mądrzy ludzie zrobili spostrzeżenie, że masy, które naogół biorąc stoją poniżej poziomu przeciętnej jednostki, wchodzącej w ich skład—ten poziom wyrównywa się stale w kierunku na minimum—pod jednym względem wznoszą się ponad przeciętność: że **do tego, aby je zapalić, natchnąć, porwać do czynu—wspaniałego czy ohydneho—potrzebna jest idea, czy choćby hasło ogólne i—co najdziwniejsze i najważniejsze — bezinteresowne.**

Por. Le Bon "La Psychologie des foules." Tego klucza do psychiki mas piłsudczyzna nie miała. "Wynagrodzenie zasłużonych"—to wszystko, na co się zdobyła. A to nie jest idea—ani ogólna, ani bezinteresowna. To nie jest wogóle idea, ani nawet hasło. To tylko **zachłanność i bezwstyd.**

### XXX

**W**IELE przemawia za tym, że ten właśnie—brak idei, zdolnej pociągnąć masy—był pierwotnym grzechem piłsudczyzny, który zadecydował o jej bezprzykładnej degradingoladzie moralnej nazajutrz po objęciu władzy. Co prawda, wysokim poziomem etycznym nigdy się ci panowie nie odznaczyli; ale tym plugastwem, jakie ujawniło się niemal nazajutrz po rokosz majowym, zaskoczyli nawet ludzi, nie mających co do tego żadnych, zdawałoby się, złudzeń. To był swoisty rekord—to tempo, z jakim zanurzyli się w błocie po uszy.

Już to na władców, na "pasterzy ludzi" nie nadawali się zgoła. Nie znali innego sposobu oddziaływania na masy, jak mniej lub więcej legalny terror lub przekupstwo; apelowali zawsze do najniższych instynktów człowieka—do troski o całość skóry i kieszeń. W obu wypadkach musieli za wszystko płacić: tym, którzy się dali użyć za narzędzie niegodziwego terroru, i tym, którzy się sprzeciwiali. Kwestja "forsy" wysunęła się odrazu na pierwszy plan i pozostała do końca bolączką systemu, pomimo czułej opieki i protekcji, **jakiej mu używała międzynarodowa finansjerja żydowska.** Okrzyk Piłsudskiego: "pieniędzy, pieniędzy!" który miał się rzekomo stosować do posłów, był w istocie hasłem obozu rządowego. Piłsudski oddawna miał w zwyczaju obrzu-



cać własnym gnojem swych przeciwników, to była stała metoda jego publicystycznej działalności.

**Wydało się tedy masę pieniędzy, lecz masy pozostały bierne.** Najgorzej zaś, wręcz katastrofalnie, wyglądała ta sprawa na t. zw. **“odcinku młodzieżowym.”** To rozumiało: młodzież jest z natury najwrażliwsza na idee, najtrudniej zaś daje się zastraszyć lub zwabić korzyściami materialnymi. Nie ma t. zw. **“obowiązków”** czyli rodziny na utrzymaniu, nie przyzwyczaiła się jeszcze do wygod, wymyślnego żarcia i picia, do luksusowego mieszkania, do łądaczania się z babami, które są wymagające. To też tam, **zwłaszcza wśród młodzieży uniwersyteckiej, piłsudczyzna** natrafiła na najcięższy opór. Napróżno bracia Jędrzejewicze **“zreformowali”** szkolnictwo, robiąc ze szkół organy propagandy **“czynu legionowego,”** napróżno odpowiednią ustawą zniszczyli autonomję uniwersytetów; napróżno położyli brudne łapska na funduszach **“Bratniaków”** i zarezerwowali sobie prawo rozdawnictwa stypendjów i zapomóg; napróżno wreszcie wydali masę pieniędzy na subsydja dla **“Straży Przedniej”** i **“Legjonu Młodych;”** wszystko to nie dało rezultatu lub bardzo znikomym.

Jeszcze w szkołach powszechnych dzieciaki śpiewały piosenki legionowe i dały się nabierać **“oświatowym”** agitatorom ze **“Związku Nauczycielstwa Polskiego;”** ale już w szkole średniej młodzież podrwiwała z **“legionowych czynów”** i **“Pierwszych Brygad,”** na uniwersytetach zaś stawała się wmię gromadą antypaństwowców-endeków, którzy prali żydów, pluli na rząd, a marszałka nazywali—o zgrozo—**“starym fajdanem”** albo **“Josele pierwszym, królem żydowskim.”** Dochodziło raz za razem do strajków, krwawych awantur i bójek, starć z policją, masowych aresztów—któż z nas tego nie pamięta?

Nie wszystkie postęпки tej młodzieży są godne pochwały i uznania, ale to było pewne, że **była to akcja bezinteresowna, nacechowana ideowością.** To nie łobuzerski "Legjon Młodych," nie chuligański "Strzelec," gdzie brało się subsydja jedną ręką od rządu, a drugą . . . lepiej nie wymieniać . . . Pewno, pocieszali się piłsudczycy, jest to biedna, zaślepiona, obałamuciona smarkaterja; **ale ileżby za to dali, żeby ją tak na swój sposób "obałamucić."** Tego jednak nie umieli. Dusza młodzieży, jak eteryczna nimfa wymykała się z brudnych łap sanacyjnych kalibanów. Młodzież wyrzekała się stypendjów, zapomóg, płatnej praktyki wakacyjnej, protekcji, posadek; skazywała się często na niewiarygodną nędzę, narażała się na policyjne motopompy i areszty, na więzienie i bicie, na relegację z uniwersytetu, **byle się nie skalać przynależnością do piłsudczyzny.** Ostatnie—na kilka miesięcy przed wybuchem wojny zaś—rozruchy w domu akademickim we Lwowie, poprzedzone ohydnyimi enuncjacjami profesora Bartla, arcy-świni sanacyjnej, są wymownym dowodem kompletnego fiaska piłsudczyzny na terenie uniwersytetów. Jeszcze wymowniejszy, być może, jest wcześniejszy chronologicznie fakt wycofania się z "**Legjonu Młodych**" wszystkich jego "wysokich" protektorów, Jędrzejewiczów, Sławków i innych, którzy w pewnym momencie spostrzegli z niemąłą konsternacją, że piastują na łonie bynajmniej nie "młodych piłsudczyków," lecz całkiem ordynarnych . . . **komunistów.** Nawet ta nieduża grupka wybiorków i odpadków młodzieży, która złąsiła się na subsydja, mundury, posady i protekcje, odstrychnęła się w końcu od piłsudczyzny. Bo młodzież nie umie żyć bez ideału; może raz i drugi wleźć w błoto, ale tak stale w nim siedzieć i nie wyłazić—to za cięż-

ko. Nie podoba wam się komunizm? A jednak młodzież prędzej pójdzie na to niż zupełną bezideowość opłacaną podatkowymi pieniędzmi.

To jest najbardziej znamienne różnica między naszą piłsudczyzną, a wielkimi prądami ideowymi, nurtującymi współczesną Europę—komunizmem, faszyzmem, narodowym socjalizmem. Wszystkie tamte oparły się na młodym pokoleniu, przez nie zwyciężyły. Tamtędy szła ich droga do przyszłości. Dlatego jedną z ich cech jest potężny dynamizm. Piłsudczyzna zawsze umiała skaptować sobie starych wyjadaczy i politykierów w rodzaju Bojki, Stapińskiego, pozyskać sobie w taki czy inny sposób wytrawne wygi, co to już zęby zjadły na “politycznej robocie,” przeważnie brudnej lub przynajmniej podejrzaney; ale **niezdolna była pociągnąć za sobą młodzieży**. Dlatego nie szła naprzód, lecz stała na miejscu, uczepiwszy się rozpaczliwie swego “czynu legionowego,” jak zalany w pestkę pijak kołka w płocie, tamując naturalny rozwój sił społecznych i narodowych. Była w najgłębszej swej istocie **ruchem wstecznym**, elementem marazmu i застоju.

Nadeszła chwila, gdy wreszcie pojęła, że jest w sytuacji bezdietnego skąpcza, który czuje zbliżającą się śmierć, a niema komu przekazać w testamencie nagrąbionych bogactw. I wtedy zrobiła ostatnią, rozpaczliwą próbę, aby oderwać od endecji młodzież, stworzyć ideologiczny obóz. Zadanie to powierzono do wykonania pułkownikowi Kocowi. Taka jest geneza “Ozonu.”

### XXXI

**K**IEDY się tak rozważa dzieje piłsudczyzny, dochodzi się nieraz do momentów, kiedy trudno się zdecydować, co jest godne większego podziwu:

prymityzm umysłowy tych panów, czy ich spodlenie i nikczemność. Jesteśmy właśnie w tej sytuacji. To, że im przyszło do głowy stworzenie na poczekaniu "ideologii" i politycznego stronnictwa o charakterze programowo-ideologicznym, dowodzi jasno, do jakiego stopnia byli oni "romantykami" i fantastami w dziedzinie polityki, jak dalece obcym był im realizm myślenia politycznego. Byli głęboko przeświadczeni, że to da się tak zrobić na poczekaniu i na zamówienie, jak uszyć parę butów. Zaczęli od tego, że znaleźli sobie "polskiego Hitlera," wyznaczyli go, mianowali, odkomenderowali." To łebski chłopak, ten pułkownik Koc, zobaczycie, jak "nabije wszystkich w butlę," samego Hitlera zakasuje. Ma przecież nominację na szefa "Obozu zjednoczenia narodowego," nominację ważną, podpisaną przez samego prezydenta, z pieczęcią i numerkiem "wychodzącym," ergo musi zjednoczyć naród. To murowane, bo jakżeby to . . . Przecie jest "nominacja" . . . "jeśli Boga niet, tak kakoj ja posle etowo kapitan?"

Druga rzecz—to moralna strona tej afery. Piłsudczyzna nie miała i nie mogła mieć żadnej ideologii, tak jak jej nie mogą mieć szajki złodziei, włamywaczy, koniokradów, oszustów i innych kryminalistów. Po dziesięciu latach panowania wzięła na barki taką górę podłości i przestępstw, że leżała przywalona tym brzemieniem nosem w błocie, jak nieszczęsny pijaczyna w kałuży swych rzygocin.

Słowo "ideologia" w ustach tych ludzi mogło być tylko bluźnierstwem, kiepskim dowcipem, albo próbą oszustwa. I to właśnie było—to ostatnie. Ani Koc, ani nikt inny z paczki nie miał zamiaru wiązać się i krępować jakąś ideologią. Było to typowe "bujanie" legjonowych łapserdaków, nabijanie w butelkę naiwnych, próba rozbicia frontu młodzie-

zowego, dywersja wymierzona przeciw endecji. Piłsudczyzna miała bezbrzeżną ufność w metodach oszustwa i blagi, wszak na tym wyjechała i z tego żyła.

Pułkownik Koc namyślał się długo, nim upichcił swój "ideologiczny program." Jak należało oczekiwać, skierował swój atak głównie na prawe skrzydło, przeciwko endecji z jej przybudówkami, gdzie skupiała się najliczniejsza i najbardziej wartościowa młodzież. Innymi słowy, **stosunkowo najwięcej ukradł z programu ideowego endecji**, mianowicie dwa najbardziej fascynujące hasła—**narodowości i antysemityzmu**—to ostatnie w związku z akcją spolszczenia przemysłu, handlu i miast. Ale ta deklaracja, rozklejona w milionach egzemplarzy za podatkowe pieniądze, była sformułowana tak oględnie i nijako, że czuło się przez skórę jej fałsz: chodziło o to, żeby jak najwięcej gadać na ten temat, a jak najmniej robić. Żydzi odetchnęli. Takiego "antysemityzmu" oni się nie boją, poznali go na wylot u nas, w Polsce. **Gdyby im pozwolono, wstąpiliby gremialnie do Ozonu.** Ale to nie wypadało, to znaczyłoby zgoła otwierać karty.

Zdaje się, że w początkach swej działalności pułkownik Koc zanadto się przejął swoją rolą i bez żartu chciał robić polskiego Hitlera. Bodaj że było przewidziane (w razie stuprocentowego powodzenia przedsięwzięcia konsolidacyjnego) ogłoszenie "Ozonu" za jedyną legalną partję polityczną i zniesienie innych stronnictw. Przynajmniej na to zdają się wskazywać takie symptomy, jak buńczuczne zakończenie "ideowej deklaracji," gdzie mowa o "sobiepanach," idących luzem swoimi drogami teraz, gdy nakazem chwili jest zjednoczenie całego narodu we wspólnym wysiłku, a następnie "zamach bombowy"

na cenne życie szefa obozu. Bodaj że miało to być, niby spalenie Reichstagu, sygnałem do rozpoczęcia represji wobec "partyjników." Ale zrobione to było tak nieudolnie, że małe dziecko poznałoby się na tej farsie. Piłsudczyzna była już wówczas w okresie uwiązdu starczego i dekadencji takiej, że nawet takiej **bandyckiej** sztuczki nie umiała porządnie wyreżyserować, choć było to poniekąd jej specjalnością. To też spaliło na panewce.

Wogóle pułkownik Koc miał nieszczęśliwą rękę. Ozonowe przedsięwzięcie jako całość zrobiło odrazu klapę. Udało się tylko zwabić pewną grupkę endeckich malkontentów, t. zw. "Falangę" pod wodzą p. Rutkowskiego, którzy zgodzili się uznać "czyn legjonowy"—od tego warunku piłsudczyzna nie mogła odstąpić; ale już druga grupa rozłamowców endeckich, t. zw. radykalni narodowcy, skupieni około pisma A. B. C., odnieśli się nieufnie do "ideowej deklaracji" i na Kocowe podwórko nie przyszli. Sama endecja została nietknięta.

Za to hurmem wkroczyło do "Ozonu" dawne B. B. Nie licząc rozmaitych związków i stowarzyszeń, których zarządy zgłaszały masowe "akcesy," nie informując o tym swoich członków i nie pytając o ich zgodę, wszyscy niemal dawni "działacze" "Bezpartyjnego Bloku" znaleźli się w Ozonie. W Bloku byli "państwowcami," uznawali tylko "obywateli" bez różnicy narodowości i wyznania, kumali się i zawierali sojusze z żydami; teraz stali się wmię "narodowcami" i "antysemitami." Nawet panowie Kościalkowscy i Miedzińscy, pożenieni z żydówkami, ci też, a jakże . . . Byle wleźć w koryto czterema łapami, gotowi byli jeszcze parę razy "zmienić przekonania:" to przecież nie kosztuje ani jednego grosza, więc niby nad czym tu długo debatować? Aż się

przeraził tego zalewu szef Ozonu i zaczął się od-  
machiwać od tej zgrai, zgranej do nitki, skompro-  
mitowanej na wszystkie sposoby i do ostatecznych  
granic, otoczonej powszechną wzdrgadą i nienawi-  
ścią. Jakby przeczuwał, biedak, że to się niedobrze  
skończy . . .

## XXXII

**S**KOŃCZYŁO się w samej rzeczy nieładnie. Oka-  
zało się, że piłsudczyzna jest tak różnorodnym  
zlepkiem, pełnym paradoksalnych lub wręcz sprzecz-  
nych tendencji, że nie da się ująć w żadne ramy.  
“U nas każdy znajdzie coś z tego, co mu potrzeba”—  
wygadał się jakiś Ozonowy publicysta. No, tak,—  
znów **byli razem w kupie ci sami, związani wspólnym  
korytem i chętką zbiorowej grabieży**, wszyscy—od  
komunisty do arystokraty - konserwatysty, płatni  
wielbiciele “czynu legjonowego,” wożący taczkami  
ziemię na Sowiniec. W tym zbiegowisku, gdzie w  
dodatku już dawno wrzała zacięta walka o koryto,  
niemożliwy był do utrzymania nawet pozór ideolo-  
gji. To też Ozon i jego szef miotali się bezradnie  
w wirze sprzecznych interesów i wpływów, nie mo-  
gąc nigdy wyjść poza obietnice i programowe  
frazesy.

Zaważyła tu również niemało i ta okoliczność,  
że kierunek ideowy, jaki pułkownik Koc był zmu-  
szony obrać, aby zaszachować endecję, w tym śro-  
dowisku był poniekąd “linją największego oporu.”  
Trzeba bowiem pamiętać, że piłsudczyzna wyszła  
niemal w całości z lewicy—z socjalizmu i żydostwa—  
i to wycisnęło na niej niezatarte piętno, tymbardziej,  
że zasilające ją w następstwie coraz to nowe brygady  
zaprzańców i karjerowiczów również w ogromnej  
większości rekrutowały się z radykalnych stronnictw.



Prawda, że ci ludzie plunęli oddawna na swe “przekonania” i przyjęli masowo “korytową ideologję” autentycznej piłsudczyzny; ale zostało w nich sporo z tego, czem nasiąkli od młodu,— pewnego typu sympatje i antypatje, predylekcje i uprzedzenia, charakterystyczne metody działania i rozumowania, niewyrozumowane popędy i tendencje.

Sam Piłsudski, choć to niby wziął rozbrat z socjalizmem, gdy “wysiadł na przystanku niepodległości,” choć potem wszedł z nim w ostry konflikt, do ostatka zachował manjery, metody postępowania i mentalność socjalistycznego agitatora wiecowego. “Zdejmę mundur, wyjdę na ulicę . . .”—znane powiedzonko, które mu się z najtajniejszej głębi serca wyrwało . . . Otóż **ogromna większość piłsudczyzny odczuwała do haseł Ozonu instynktowny, nieprzezwycięzalny wstręt**. Od biedy zgodzili się na to, aby je głosić i propagować w celach konkurencyjnych, aby wytrącić tę broń z ręki znieawidzonym endekom, to jeszcze mogli wytrzymać ludzie, dla których kłamstwo stało się chlebem powszednim: **ale postępować według nich?**—wprowadzać je w czyn?—na serjo walczyć z żydami?—zamykać loże masonskie?—popierać religję?—wziąć krótko przy pysku bezbożniczą kanalję ze Związku Nauczycielstwa Polskiego?—**nie, tego było za wiele**. To też ilekroć Ozon zapragnął zadokumentować czynem swą deklarację, tylekroć—zawsze i niezmiennie—obserwowaliśmy następujący schemat zdarzeń:

**Akt pierwszy:** Surmy i trąby bojowe grają pobudkę, zaczyna się brawurowy atak.

**Akt drugi:** Fanfary bojowe cichną, następuje moment wahania i oglądania się wstecz; zamiast krwawej bitwy—poufne narady i konszachty, z któ-

rych znikoma tylko i najmniej istotna część dochodzi do wiadomości publicznej.

**Akt trzeci:** Sprawa kończy się jakimś kompromisem lub żenującym milczeniem. Ale czasem ten trzeci akt miał jeszcze smutniejszy przebieg: Oto Ozon cofa się w haniebnej rozsypce na całej linii, ośmieszony i sponiewierany, z porteczkami w strzępach.

Taką katastrofalnie sromotną porażką skończyła się akcja Ozonu przeciw "Związkowi Nauczycielstwa Polskiego," którego zarząd zawieszono i ustanowiono kuratora z ramienia rządu, a potem wycofano się na całej linii, narażając na pośmiewisko i prześladowanie zaangażowanych w to swoich ludzi, a cały rząd Ozonowy, zwłaszcza premjera Składkowskiego, na niewiarygodną kompromitację. Ozon zagalopował się i przeliczył z siłami. Związek znalazł poparcie w najbardziej wpływowych sferach piłsudczyzny, którym przypomniawszy swe dawne dla sanacji usługi (**prorzadową agitację na wsi i masowe fałszerstwa wyborcze**). Podobno sama marszałkowa Piłsudska (wychowanka żydowskiej rodziny Perlów) i marszałek Rydz interwenjowali w tej sprawie i udaremniili zamiary Ozonu i rządu.

Stało się tak pomimo tego, że **w danym wypadku Ozon miał stuprocentową rację**; że wszystkie zarzuty przeciwko Związkowi—uprawianie polityki radykalnej, dochodzącej do agitacji komunistycznej i bezbożniczej, wtrącanie się do spraw administracji szkolnej, przeciw-statutowe wydawanie pism politycznych, defraudacja i marnotrawstwo sum, zebranych przymusowo ze składek członkowskich—były słuszne i udowodnione czarno na białym. A jednak Ozon tchórzliwie podwinął ogon pod siebie. Jak mogła ta "organizacja" jeszcze egzystować po takiej

kompromitacji?—**Mogła.** Bo Ozon, jak cała piłsudczyzna, był czemś nierealnym, nieistniejącym w faktycznej rzeczywistości politycznej; istniał tylko jako **złuda, blaga, oszustwo.** Tylko sumy, które pochłonęło utrzymywanie tej fikcji smrodliwej—te były, niestety realne. Aż nadto realne, jak na kieszeń chłopa, robotnika, rzemieślnika, przeciętnego inteligenta i urzędnika. To była **jedyna realna rzeczywistość “legandy sanacyjnej”**—te pieniądze, które połknęła, a których brakowało na uzbrojenie armji, na budowę dróg, na podniesienie przemysłu i rolnictwa, na rozwój motoryzacji—na wszystko zresztą.—“Pieniędzy, pieniądze, pieniądze;”—wywrzaskiwał Piłsudski, niby to przedrzeźniając swych przeciwników politycznych: nie podejrzewał zapewne, że wygłasza jedyne “hasło ideowe” swego obozu.

### XXXIII

**A**LE sen o polskim hitleryźmie skończył się: tak brutalnego szoku w zetknięciu z rzeczywistością fikcja Ozonowa nie wytrzymała. Hochstaplerstwo udaje się, lecz tylko do pewnych granic. Hitler cofający się przed panem Kolanko, Balcerskim i bandą ćwierć—inteligentów wiejskich bakałarzy, “demokratycznych” lizusów i służalców kryptodyktatury, nie—wolne żarty, to widowisko było zbyt zabawnie kompromitujące. Jedna tylko piłsudczyzna nie mogła tego pojąć i upierała się przy kontynuowaniu “fałszywej gry.” Koc się zdyskredytował?—Ano, to pewnie dlatego, że to tylko pułkownik; trzeba na jego miejsce zamianować generała i pójdzie jak po maśle.

Koc “zachorował” i znikł z horyzontu. Wrócił do swej bankowości, na której rozumiał się zapewne

taksamo, co na polityce. Hitlerowi odebrali nominację—i wykończył się w ten mig. Bo jakże?—bez nominacji, pensyjki, gratyfikacji, jak tu działać?—To pomimo wszystko jest zabawne i możnaby się w tym miejscu serdecznie uśmieć, gdyby nie krzywdą sprawy. Tego Koca to jeden chyba pan Cat-Mackiewicz żałował. Twierdzi, że to był “uczciwy” i “ideowy” człowiek, niby ten pułkownik Koc. Ale **ideowym to on nie mógł być**, choćby chciał, skoro **był piłsudczykiem**, gdyż te pojęcia wykluczają się wzajemnie w sposób absolutny; co do uczciwości, to nie wiem o tym nic konkretnego. Ale to jedno jest pewne, że w **bandzie złodziei niema uczciwych ludzi**; tacy się tam nie mogą uchować. Kto nie kradnie, ten przynajmniej pikietuje i ostrzega kradnących lub przechowuje skradzione rzeczy. Bez tego ani rusz. Piłsudczyzna była szajką przestępców: być może, pułkownik Koc należał do tej drugiej—łżejszej—kategorji jej uczestników: to maksimum dobrego, co można o nim pomyśleć.

Jeżeli działalność pierwszego szefa Ozonu nadaje się do komedji, to powołanie na jego miejsce następcy jest już czystą farsą, niezrównaną w swym beztroskliwym humorze.

Ten nowy Hitler polski—to generał Skwarczyński—znaliśmy go tu, w Wilnie. Obwieszony orderami, jak choinka na Boże Narodzenie, przesiadywał popołudniu u Czerwonego Sztralla, a wieczorami aż do późnej nocy można go było zastać w rozmaitych knajpach. W “Ziemiańskiej” miał “swoją” stół, gdzie stale zasiadał w towarzystwie paczki oficerów. Nieczęsto chodziłem do knajp—trzy, cztery razy do roku: ale ilekroć tam zaszedłem, tyle razy miałem honor oglądać śmiertelnymi oczyma przyszłego zbawcę ojczyzny. Siedział i żłopał wódkę, jakby nigdy nic.

Aż nagle dostał “nominację” na szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego. Wyobrażam sobie, jak to było: zerwał się na pewno, poprawił pas i gada: “No, koledzy, jeszcze jeden kieliszek chlapniemy i muszę was pożegnać.”—“Co ty? idziesz się wysusiać?”—“Nie, idę konsolidować naród.”—I poszedł . . .

Wesoły typ, ten generał. Osobiście lubię takich zuchów. Mówili o nim, że był uczciwy i nie kradł. Być może. **W gronie piłsudczyków—to wyróżnienie zgoła osobliwe**, co racja, to racja. Ale na szefa obozu, mającego zjednoczyć naród, to jeszcze kwalifikacji nie daje. Na wyjeźdźnym z Wilna urządzono niby ucztę pożegnalną, na której pan generał wygłosił swoje “credo” polityczne: “Nie pójdę na prawo, nie pójdę na lewo”—oto co oświadczył.—“A więc dokąd?”—pytali skonsternowani dziennikarze. Nie doczekali się odpowiedzi — i słusznie. Pojęcia “prawicy,” i “lewicy” mają walor w polityce; piłsudczyzna nie miała nic wspólnego z polityką. Była—raz jeszcze—powtarzam **blażeńską fikcją i kryminalnym występkiem**. Tkwiła w moralnym błocie, w niedorozwoju duchowym i umysłowym, głęboko poniżej poziomu wszelkiej polityki.

Dalsza historia Ozonu jest nudna i niepouczająca. Zmiana na stanowisku szefa wywołała rozłam. Pan Rutkowski spostrzegł się wreszcie, że robiono z niego durnia i narzędzie mizernej intryżki, i usunął się z częścią “Falangi,” część jednak zdołano zatrzymać w Ozonie i komendę nad nią powierzono majorowi Galinatowi, jednemu z młodych działaczy sanacyjnych, który za późno pojawił się na placu: kariery nie zrobił i swego Plutarcha pewno się nie doczeka. Od tej chwili Ozon zatracił właściwie sens istnienia. Wegetował. Nikt nie wiedział, na co i komu potrzebna jest ta “organizacja” z jej mega-

lomańską paplaniną, wewnętrznymi rozgrywkami i sporami, zabawnymi pretensjami do reprezentowania narodu, podczas gdy w istocie była ułamkiem drobnej ilościowo kliki. Bo nawet sanacji nie zdołał Ozon “skonsolidować.”

Mimo zastrzeżeń szefa i mimo wielokrotnych zapewnień utrzymania zasad “deklaracji” pułk. Koca, **Ozon skręcił wyraźnie na lewo**, prawdopodobnie na mocy prawa inercji. Świadczy o tym jego pokucie się z żydami w czasie ostatnich wyborów, co zresztą starano się ze wszech sił zakonspirować. Zbyteczna i nierozsądna wstydlivość. Pan generał Skwarczyński mógł sobie przyjechać do Wilna (pierwszą klasą i bezpłatnie), predefilować “depache” z rabinem Robinsteinem czy Hosenduftem przez Mickiewicza, zasiąść z nim w “Ziemiańskiej” przy swoim stole, wypić “bruderszaft” i ucałować się “publiczne” z lubeltówki: nikogoby to już nie zdziwiło ani oburzyło,—z wyjątkiem chyba jednego pana Mackiewicza-Cata. Ale to oburzenie jest mocno podejrzane. Bo że piśsudczyzna była tyśiącem nici i wzajemnych—tajnych i jawnych związków—**związana z żydowstwem, to było i jest publiczną tajemnicą.** “Bezpartyjny Blok” otwarcie i niejednokrotnie zadokumentował to wzajemne przywiązanie, a pan Mackiewicz, co się potem zrobił takim “wściekłym antysemitnikiem,” siedział w tym “Bloku” pośladek przy pośladku razem z chałaciarzami. Więc o co chodzi panu redaktorowi? **Że “Blok” bratał się jawnie z żydami, a Ozon potajemnie?** Czy to nie na jedno wychodzi?—Że “Blok” był “ligą,” a “Ozon”—“partją?” Nie kłóćmy się o słowa, panie redaktorze. Wart Pac pałaca, liga—partji, a pan Mackiewicz—generała Skwarczyńskiego. A wszystko ra-

zem—i liga i partja i Mackiewicz i Skwarczyński—kopniakiem won z naszego życia publicznego.

### XXXIV

**N**AJSTRASZNIJSZE skutki pociągnęła za sobą “genjalna” działalność marszałka i jego “współpracowników” na polu polityki zagranicznej. To była—obok wojska—druga domena, w której Piłsudski zastrzegł sobie decydujący wpływ i absolutną swobodę ruchów, nieskrępowaną żadną kontrolą czy krytyką. Czuł się w tym fachu “specem,” który—on jeden—potrafi robić “niezależną politykę zagraniczną.” Wyraziło się to w tym, że **oderwał się od Francji i zawarł pakt przyjaźni z Niemcami.** Dziś, kiedy na własnej skórze poczuliśmy, do czego doprowadził ten genjalny pomysł, niema już dwu zdań w jego ocenie: był to **błąd, który się pomścił strasznie.**

**Co skłoniło Piłsudskiego do tego kroku?** Czy to była tylko właściwa mu lekkomyślność w sprawach publicznych i zwyczajny dyletantyzm? Czy nie odegrały tu roli jego podświadome instynkty i skłonności? Bo Piłsudski miał nawskroś rosyjską, wschodnią mentalność, a wiadomo, jak właśnie tego rodzaju ludziom imponują Niemcy, ich ład, talent organizacyjny, brutalna siła. Kontrasty się, jak wiadomo, przyciągają. Piłsudski wysługiwał się im w okresie “legandy legjonowej,” a z Magdeburga wypisywał dość płaskie i małoduszne zapewnienia, że nigdy nie miał zamiaru im szkodzić. **Nie odczuwał też do nich pretensji ani żalu z powodu tego uwięzienia,** jak to wyraźnie zaznaczył w rozmowie z przedstawicielami Niemiec przy Lidze Narodów. Natomiast Francji nie lubił i nie miał do niej zaufania.

Takie osobiste nastawienie byłoby rzeczą obo-



jętną, gdyby to nie chodziło właśnie o Piłsudskiego, romantyka, chimeryka i politycznego fantastę. Być może jednak, że odegrał w tym decydującą rolę minister Józef Beck, **kreatura ciemna i podejrzana, więcej, niż dwuznaczna. Ponoś z niemieckiej rodziny pochodzący, ale z wyraźnie żydowską fizionomją** minister Beck objął tekę spraw zagranicznych akurat w momencie tego przełomu w naszej polityce i ta radykalna zmiana kursu wiąże się ściśle z jego osobą. **Czy był on pionkiem, wykonywującym "genjalne" pomysły "tego, który," czy też raczej Beck był "spiritus movens" w tej robocie i ciągnął za sobą starzejącego się i coraz bardziej zatracającego zdolność normalnego myślenia "marszałka,"** na to pytanie trudno odpowiedzieć.

Jest to zresztą małoważny szczegół. Ważniejsza natomiast jest osobistość naszego długoletniego ministra S. Z., tej warto się przyjrzeć. Co prawda, wiemy o nim bardzo niewiele, jednak coś niecoś doszło do wiadomości ogółu. A więc pewne jest, gdyż pisała o tym szeroko prasa, że **pułkownik Beck** bawił w pierwszych latach po wojnie we Francji jako członek Polskiej Misji Wojskowej i stamtąd **został wydalony na żądanie marszałka Foch'e'a.** Pówód?—tajemnica. Jeden z urzędników ambasady polskiej we Francji, stale zatrudniony w Paryżu, zakomunikował mi w sekrecie, że **pułkownika Becka przyłapano na gorącym uczynku wykradania sekretnych aktów wojskowych w Ministerstwie Wojny.** Tę samą wersję w nieznacznym odmianach słyszałem potem kilkakrotnie z różnych źródeł. Plotka? Pewno, tak. Ale zauważcie, że **prawdy u nas nie wolno było pisać.** I jeśli plotka, to bardzo prawdopodobna. Bo proszę **pomyśleć, jaką mogła być inna przyczyna przymusowego wydalenia z granic kraju**

członka Misji Wojskowej zaprzyjaźnionego państwa? **A jeżeli to było prawdą, to poco i dla kogo chciał pan Beck wykraść te dokumenty? Przecież nie dla Polski, zaprzyjaźnionej z Francją.** Polsce wszak Francja nie mogła w niczym zagrażać. Z tego punktu widzenia późniejsze konszachty pana Becka z Niemcami, ciągłe wizyty, polowanka, przyjęcia, zjazdy **wyglądają mocno podejrzane.** Jeszcze bardziej interesujące jest trochę niewyraźne, a mimo to jakże wiele mówiące odezwanie się niemieckiego radja już w czasie wojny: że **minister Beck w przeszłości niejednemu panu służył.** Tak mówi się o kimś, kogo się chce po przyjacielsku przestrzec, nie topiąc go ostatecznie. Te fakty i pogłoski są warte zanotowania i rozważenia. Zapewne w przyszłości dowiemy się czegoś więcej o tym. W każdym razie zapaszek stamtąd wieje nieładny, gnojowe perfumy **a la Piłsudski.** I to jeszcze podkreślmy: zabłysnął tu znów w całej pełni znakomity "talent" marszałka do wyszukiwania sobie odpowiednich pomocników; czyżby w całej piłsudczyźnie nie było nikogo lepszego na stanowisko ministra spraw zagranicznych? **W normalnym społeczeństwie człowiek podejrzany o szpiegostwo miałby raz na zawsze zamkniętą drogę do tego rodzaju kariery, chociażby ze względów przyzwoitości.**

Jakim torem prowadził minister Beck polską politykę zagraniczną, to powszechnie wiadomo. **Hitler zawdzięcza mu bardzo wiele;** jeden z francuskich tygodników (Marianne) wydał o ministrze Becku taką opinię: **człowiek, który wszystkie swe zdolności i czas poświęcił temu, aby szkodzić Francji i jej sojusznikom.** Jeżeli minister Beck nie był zdrajcą, pracującym dla Niemiec, to w każdym razie **robił wszystko tak, jakby nim był;** i w takim razie był

fenomenalnym **durniem**, patentowanym osłem, **najgłupszym ze wszystkich ministrów spraw zagranicznych**, jacy kiedykolwiek na świecie istnieli.

Może jednak szukamy zbyt daleko motywów i przyczyn? Przecież byli politycy i publicyści, jak np. Studnicki i Cat-Mackiewicz, ludzie niewątpliwie w danym wypadku uczciwi, którzy otwarcie i jawnie propagowali hasło zbliżenia się do Niemiec. Byłaby to w istocie bardzo pojętna idea, gdyby była wykonalna. Niewątpliwie, że musiało nam zależeć na zgodzie z Niemcami, wiadomo, że byliśmy od nich o wiele słabsi, a wojna wogóle nie należy do przyjemności. Cała trudność polega na tym, że to nie my byliśmy stroną atakującą, nie my podnosiliśmy pretensje i czyhali na cudze terytorjum, lecz oni. Otóż jak to zrobić, żeby Niemcy pozostawili nas w spokoju i wyrzekli się zdobyczy na wschodzie?—Oto w czym trudność.

Wszak na “wschodnie Locarno” żaden rząd niemiecki—od Stresemana do Hitlera—nie chciał się nigdy zgodzić. Hitler pisał w “Mein Kampf” mniej więcej tak: **“Dla Polaków będę bezlitosny, wypędzę ich, niech się osiedlają gdzie chcą, choć na Syberji.”** Jakże z takim sąsiadem zawierać przymierze? Tego nie tłumaczą mi ani pan Studnicki ani Cat-Mackiewicz. Wobec nich jedyne, co można było zrobić, to zawrzeć taki “pakt,” jaki zawarto—to znaczy, że **Hitler, otoczony ze wszech stron wrogami, skorzysta z naszej “przyjaźni,” aby dokonać po kolei szeregu “anschluss’ów,”** a potem nas poprosić o zmianę granic, po otrzymaniu zaś odmownej odpowiedzi, zerwać pakt i napaść na nas bez wypowiedzenia wojny. Na inny “pakt” Niemcy nie poszliby.

Zanim do tego doszło, pan Cat-Mackiewicz już się przeraził i nuże się gęsto tłumaczył, że to on

tak nie chciał, że on to rozumiał inaczej, a tak, to on się nie chce bawić; że Rzesza powinna była zapewnić nam równomierny podział zysków. Ach, panie redaktorku. Czy **to pan doprawdy sądził**, a może jeszcze sądzi, że **jakikolwiek inny pakt był między Polską a Rzeszą możliwy?** Niechże pan choć raz rzuci okiem na mapę ale na dawną, "przedwojenną" mapę granic polsko-niemieckich, a potem raczy zadać sobie pytańko: czy naród, przeniknięty ambicjami politycznymi i cały nastawiony na wojnę, mógł znieść tego rodzaju granice?—Chyba, żeby pójść na dobrowolne ustępstwa. Ale to, jak wskazuje przykład Czechosłowacji, nie na wieleby się przydało: **Po Gdańsku przysłaby kolej na Pomorze, po Pomorzu na Śląsk, po Śląsku na Poznańskie**—i tak dalej aż do skutku. Nie, szanowny panie redaktorze, ten pański pomysł sojuszu z Niemcami to było typowe "marzenie ściętej głowy," które nie miało absolutnie nic wspólnego z myśleniem politycznym. Zwłaszcza po dojściu do władzy Hitlera ten pomysł należał wyraźnie do kategorii t. zw. "dzikich fantazji," które normalnemu człowiekowi przychodzą czasem do głowy (po pięciu kieliszkach), ale których nigdy nie wykonywa—(wciąż mowa o normalnym człowieku).

Dmowski miał bezwzględną słuszość, gdy dowodził, że **między Polską a Niemcami istnieje tragiczny konflikt historyczny, który nie da się wyrównać przez żadne "pakty" i umowy**, i kiedy radził zachowywać jak najlepsze stosunki z Rosją—jakakolwiek ona jest—aby nie narazić się na grozę ataku z dwóch stron i móc wszystkie siły obrócić na obronę zachodnich granic. **Bo między Polską a Rosją nie ma nieprzezwycięzalnych sprzeczności**, dla których opłaciłoby się ryzykować wojnę. Jeżeli teraz docze-

kaliśmy się najazdu bolszewickiego, to dlatego, że Rosję nic to nie kosztowało zagarnąć od zamachu pół Polski, **powtórę zaś dlatego**, że wspaniała **“niezależność”** polityki polskiej **polegała na tym**, aby **wszystkich dokoła zrazić**, a nikogo naprawdę nie pozyskać. Między innymi Rosję **provokowaliśmy nieraz**, o czym jeszcze będzie mowa, w sposób nierozsądny i niepotrzebny, w Rzeszy zaś znaleźliśmy sobie sojusznika—wiadomo jakiego. Powtórzył się stary błąd z końca XVIII-go wieku, kiedy to także zawarliśmy sojusz z Prusami, a skończyło się jednakowo—wtedy i dziś. **Przed tym ostrzegał Dmowski i—raz jeszcze, miał słuszość.**

Kto wie, czy nie dotknęliśmy mimochodem jednego z najważniejszych motywów, które zadecydowały o postępowaniu Piłsudskiego. **Marszałek nienawidził Dmowskiego i endecję.** To mu pozostało jeszcze z czasów socjalistycznego agitatorstwa—i to się nie zmieniło do końca. Dmowski był jego rywalem w rządzie dusz i **Piłsudski wyczuwał instynktem wyższość** tego przeciwnika nad sobą. Przewidującym rozumowi, głębokiemu doświadczeniu i nieskazitelnemu charakterowi **mógł przeciwstawić tylko załganą reklamę żydowską.** Za Dmowskim szła ogromna większość społeczeństwa, która wiedzona zdrowym instynktem, **w Niemczech widziała najgroźniejszego naszego wroga.** Ale przyjąć program znienawidzonej endecji—jakikolwiekby on był—to **było dla Piłsudskiego niepodobieństwem.**

Pomijając już te zadawnione antypatje, miał on głęboko zakorzeniony w naturze pociąg do przekory. Jeżeli wszyscy na świecie Polacy mówią “ten Litwin,” to u marszałka nieodzownie musiało być “ta Litwina.” Głupio, nieładnie, śmiesznie,—**ale inaczej.** Ta przekora w połączeniu z płytką ambi-

cją i żądzą imponowania, przeradzającą się z wiekiem w dziką pasję do pustego samochwalstwa, która wyłazi z niego na każdym kroku, wytworzyła w nim znany talent do "zaskakiwania:" ot, zrobić coś, żeby wszyscy gęby z podziwu otworzyli. To go dręczyło bez przerwy i bodajże było przyczyną wielu jego wyskoków i nieobliczalnych fanaberji. To się nazywało w języku piłsudczyzny "genialnością." Pakt z Niemcami był wspaniałym "zaskoczeniem" wszystkich bez wyjątku, to była taka gratka, której marszałek nie mógł wypuścić z rąk.

Prawdopodobnie jednak wchodziły tu w grę jeszcze inne motywy. Nie wiemy, rzecz prosta, o czym szeptano na owych zjazdach, polowaniach, przyjęciach i tajemniczych naradach z Ribentropem, Goeringiem i innymi matadorami hitleryzmu. Ale wiele przemawia za tym, że ten "pakt" miał być wstępem do wykonania poważniejszych i o wiele dalej sięgających planów. Pomysł rozbicia i "rozparcelowania" Rosji był oddawna "idee fixe" Piłsudskiego, która przyświecała mu już podczas wyprawy Kijowskiej. Bodaj że politycy niemieccy niedwuznacznie podsuwali tę przynętę naszym "mężom stanu." Trudno powiedzieć, jak daleko doszło porozumienie w tej sprawie i do jakiego stopnia sprecyzowano te zamiary. To jedno jest pewne, że Rosja była o tym poinformowana, stale podejrzewała nas o wrogię dla siebie konszachty z hytleryzmem i swym obawom nieraz dawała wyraz.

O tym samym świadczą słowa ministra Becka w jego mowie sejmowej już po wybuchu konfliktu z Niemcami, że politycy niemieccy nieraz go zapewniali, że sprawa Gdańska, niewielkiego, prowincjonalnego miasta, nie wywoła konfliktu między Polską a Rzeszą, natomiast podsuwali mu inne sugestje,

których ogłoszenie rezerwuje sobie na później; było to powiedziane dyskretnie, ale aż nadto wyraźnie: nic innego nie mógł mieć Beck na myśli, jak tylko owe “wschodnie” plany. Tak to też zrozumieli Niemcy i bolszewicy. Ale już było zapóźno. Obiecane “rewelacje” nikogo nie zainteresowały, o tym już dawno wszystkie wróble śpiewały na dachach Kremla. Nie trzeba było niepokoić i drażnić bolszewików przez kilka lat dziecinnymi konszachtami i durnym szeptaniem po kątach. Teraz Moskale już się porozumieli z Ribentropem za naszymi plecami: stanęliśmy wobec grozy podwójnego najazdu. **Oto był ostateczny rezultat “genjalnej polityki” marszałka.** Powtórzyła się tragedia z końca XVIII-go wieku, niemal we wszystkich szczegółach. “Historja magistra.” Sęk w tym, że nie wszyscy umieją z jej wskazówek korzystać.

Nie dorosli do tego dwaj sternicy naszej nawy państwowej: **półobląkany samodur-megaloman i podejrżane indywiduum** o ciemnej przeszłości, obaj naiwni dyletanci—**ucharakteryzowane na “mężów stanu” marjonetki w rękach naszych przeciwników.**

### XXXV

**M**NIEJSZA o to, jakie motywy i obliczenia powodowały Piłsudskim. Marszałek bywał czasem rzeczywiście “**nieodgadniony,**” tylko nie w ten sposób, jak to głosili jego wielbiciele. Akurat z drugiego końca. Beseler mawiał o nim, że jest to “**ein konfuser Kopf**” (chaotyczny łeb) i skarżył się, że niepodobna się z nim nigdy dogadać na czysto, bo **Piłsudski nie umie jasno sformułować, o co mu chodzi.** Piłsudski głosił zasadę, że polityka zagraniczna jest dziedziną spraw ściśle zakonspirowanych, ogra-



niczonych do małego kółka “wtajemniczonych.” Oburzał się na pretensje sejmu do rozważania tych zagadnień. Jakto? Pierwszy lepszy fajdan sejmowy będzie zabierał głos i decydował o tak trudnych i ważnych zagadnieniach?

To stanowisko podzielał następca i kontynuator jego polityki, minister Beck. Pomimo “usanowania” sejmu, który stał się teraz grzeczną i układną rodziną, podległą prawom wewnętrznej “dintojry,” i nie zdradzał żadnych zakusów do zajmowania się “cudzymi sprawami,” minister Beck bardzo rzadko składał “expose” o polityce zagranicznej rządu, a jego przemówienia były tak mdłe, ogólnikowe i nic nie mówiące, że rozumiało się bez trudu że jest to czcza formalność. To były bajeczki dla grzecznych dzieci, skrupulatnie przez cnotliwą ciocię ocenzurowane, żeby się nie znalazło w nich nic gorszącego.

Jednak obaj—**Piłsudski i Beck**—zapomnieli nas pouczyć, **jakie oni sami mieli kwalifikacje do kierowania polityką.** Zapewne wrodzony genjusz. Ale był to genjusz głupoty i lekkomyślności. Takiego szaleństwa, jak ów słynny “pakt” z Hitlerem, nie wymyśliłby pierwszy lepszy głuptas. To było precyzyjnie i w stopniu najwyższym coś najgłupszego ze wszystkiego, co było możliwe do zrobienia, w swoim rodzaju “majstersszytk,” arcydzieło bezmyślności, nieogłędności, braku rozwagi i wyobraźni, niezdolności przewidywania, nieumiejętności wyzyskania minionych doświadczeń.

To wymagało w istocie pewnego rodzaju “**genjalności.**” Ileż obłądnego zaślepienia tkwiło w upartym kontynuowaniu tej polityki wbrew wszystkim znakom ostrzegawczym na ziemi i niebie . . . Jedyną naszą rękojmnią były dość dwuznaczne i mocno w swej niejasności podejrzane zapewnienia

kanclerza Niemiec o jego przyjaźni do Polski, **które Polskie Radio próbowało nawet fałszować** na naszą korzyść, aby nas uśpić i otumanic. Kanclerz niemiecki znalazł niezawodny sposób na nasz rząd: w **każdej swej mowie wtrącał parę słów pochwały i uznania dla marszałka**. I to wystarczyło mu na kilka lat. Od tego naszym "mężom stanu" zachodziły ślepie mgłą rozkoszy, tracili zmysł słyszenia, wiedzenia, myślenia i przewidywania: byli przepełnieni po brzegi wdzięcznością, czując się z tak "autorytatywnej strony" "potwierdzeni w swym jestestwie" . . .

Przypomina mi się w tej chwili, jak to zeznawał przed sędzią śledczym pewien kierownik rachuby, oskarżony o defraudację. Na zapytanie, jak było możliwe fałszować asygnacje, które musiał podpisywać naczelnik wydziału, tamten odpowiedział mniej więcej w te słowa: "Wiedziałem, że pan naczelnik jest pod pantoflem swej żony i okropnie kocha swego synka; to ilekroć tylko zaczynał zdradzać jakieś objawy nieufności, ja nuże mu wychwalać panią naczelnikową i Kostusia. To on już był jak urzęczony i podpisywał wszystko, co się mu podsuwało."

Nie wątpię ani chwili, że w podobny sposób wyjaśniłby kanclerz Hitler metodę swojego postępowania z rządem piłsudczyzny. Ale tego nie zrozumieli do końca nasi "politycy." Jeszcze w przededniu wojny i podczas jej trwania polemizowali z kanclerzem Niemiec, dowodząc, że to nie on, **ale właśnie marszałek Piłsudski zainicjował** politykę przyjaźni między Polską a Niemcami. Że Hitler miał się czym chwalić, to rzecz zrozumiała: ten pakt przyniósł ogromne korzyści Niemcom, a nieobliczalne szkody Polsce; **ale upieranie się w tej chwili, kiedy już wszystko było widać jak na dłoni, przy przypisywaniu tej "zasługi" wyłącznie marszałkowi,**

—to już wygląda na ciężki obłąd i kompletną niepo-  
czytalność.

Punktem kulminacyjnym tego szaleństwa było  
nasze stanowisko w sprawie Sudetów. Był to **jedy-  
ny moment, kiedy mogliśmy odegrać naprawdę waż-  
ną rolę w polityce europejskiej** i utracić zakusy Niem-  
iec w samym zarodku, co mogło być początkiem  
końca samego hitleryzmu. **Należało wówczas zmo-  
bilizować się, zawrzeć sojusz zaczepno - odporny z  
Czecho-Słowacją i zgodzić się na przepuszczenie do  
Czech wojsk sowieckich; wtedy i Chamberlain in-  
nym tonem zagadałby z Hitlerem. To był postulat  
zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego.**

Zamiast tego wystąpiliśmy w charakterze so-  
jusznika Niemiec, połakomiwszy się na skrawek  
Śląska, **rozdrapaliśmy Czecho-Słowację do spółki z  
Niemcami i Węgrami.** Padł błazeński rozkaz “ma-  
szerowania” i zaczął się bohaterski najazd na drobny  
narodek, otoczony ze wszech stron wielokroć potęż-  
niejszymi wrogami i opuszczony przez sprzymierzeń-  
ców, który w tych warunkach nie mógł stawić żadne-  
go oporu.

Zdobycz przyszła tanim kosztem, ale też sta-  
nęła wnet kością w gardle. **Za ten Śląsk zapłaci-  
liśmy wszystkim.** Nie mamy nawet prawa do współ-  
czucia sprawiedliwości, my, niedawni napastnicy do  
spółki z Niemcami. **Nie dziwmy się też Rosji i nie  
oburzajmy się na nią: ZROBIŁA RÓWNIUTKO TO  
SAMO.** Być może, że i ona tego pożałuje w niedłu-  
gim czasie.

Nie zaprzeczam bynajmniej, że ten Śląsk został  
nam podstępny sposobem wydarty; ale nie **czas by-  
ło wtedy na drobne rewindykacje, gdy już zajęła się  
pożarem cała zachodnia ściana naszego domu.** Tylko  
małostkowy, półpoczytalny głupiec mógł wtedy soli-

daryzować się i współdziałać z Niemcami z powodu małego skrawka ziemi, nie dostrzegając, że rozpoczęła się już gra "va banque." W następnym roku Hitler połknął Czechy i Słowacyznę, otaczając nas ogromnym łukiem od południa. Znaleźliśmy się geograficznie i strategicznie w sytuacji mało co lepszej, niż Czecho-Słowacja.

Wtedy dopiero otrzeźwiali nieco nasi Mackiewicz i Beckowie. Nasi "władcy" próbowali się jeszcze ratować "pobrzękiwaniem w szabelkę"—hochstaplerską fanfaronadą żołnierską—w nadziei, że Hitler może choć odrobinę w to uwierzy i że się przestraszy. Niestety, był on świetnie poinformowany o faktycznym stanie rzeczy. Nasi cenzorzy potrafili zamknąć gębę opozycyjnej prasie, ale nie mogli, niestety, konfiskować tajnych raportów jego agentów i dyplomatów. **Te śniadańka myśliwskie, wizyty i konszachty, zjazdy i konferencje niemieckich mężów stanu z naszymi "bekami" też wydały owoce:** nie byli oni głusi ani ślepi . . . Było to coś, jak owe słynne "bratanie się" na niemiecko-rosyjskim froncie, kiedy to żołnierze niemieccy w czasie swych odwiedzin w okopach rosyjskich fotografowali swych "przyjaciół-Moskali" . . . razem z fortyfikacjami, umocnieniami i okopami . . . A na drugi dzień żołnierze rosyjscy nie mogli się dość nadziwić zdumiewającej celności działań niemieckich. Wpadliśmy w potrzask bez wyjścia. Pozostawało jedynie zjadać owoce "genjalnej" polityki marszałka Piłsudskiego i jego "spadkobiercy." Ano, gryźmy w dalszym ciągu, bo na razie nic innego nam nie zostało . . .

**P**ŁSUDCZYŻNA gardziła małym człowiekiem—  
 tak jak uczył ten, który dla narodu miał zawsze  
 słowa pogardy i obelgi, a wszystkie zasługi i cnoty  
 przypisywał sobie i—to już w drodze łaski—swoim  
 “współpracownikom.” Nie działa się też dobrze ma-  
 łym ludziom w Polsce za rządów piłsudczyzny. By-  
 ła to “arystokracja,” która zgóry spoglądała na  
 “motłoch” i mało doń czuła zaufania. **Ich naród  
 miał milczeć, słuchać i płacić podatki.** Na dobrą  
 sprawę odebrano ludziom wszystkie swobody i pra-  
 wa obywatelskie. **Parlamentaryzm i wybory zmie-  
 niono w farsę;** chłopom odebrano prawo głosowania  
 do senatu, które nadał im zaborca; zniesiono usta-  
 nowione przez zaborcę sądy przysięgłych w Mało-  
 polsce; samorządy, opanowane również przez “swo-  
 ich ludzi” znanymi metodami, a gdy, te zawiodły, za-  
 stępowane mianowanymi kreaturami rządu, były  
 bezsilne wobec wszechwładzy administracji i policji.  
 Prawo istniało, ale tylko w granicach dogodnych  
 władzom; w razie potrzeby obchodzono je perfidnie  
 lub gwałcono bezwstydnie, bez ceremonji zbytecznej.

**Bunty i rozruchy,** jakie sporadycznie podnosiła  
 ludność doprowadzona do rozpaczki, tłumiono bez-  
 względnie i okrutnie. Dodajcie do tego nadmierne  
 obciążenie podatkowe, zbyt niskie ceny na produkty  
 rolne, co pogrążyło w nędzy całą wiejską ludność,  
 biurokratyzm, bezrobocie i przeludnienie wsi, która  
 nie mogła wysyłać nadmiaru rąk roboczych do miast,  
**opanowanych przez żydów, naturalnych sojuszników  
 sanacji,** — trzeba przyznać, nie działa się dobrze  
 “motłochowi” w odrodzonej ojczyźnie . . . Czytajcie  
 “Bunt Rojstów” Mackiewicza; wmyślcie się w znane  
 przekleństwo białoruskiego chłopca: “Kab ty pa pol-

skim uradam chadził.” — to wam powie bardzo wiele.

Nadeszła chwila “wielkiego egzaminu” . . . Zdałiśmy go z postępowaniem niedostatecznym — i to dlatego tylko, że gorszego stopnia niema. To był pogrom, nie wojna. W dwa tygodnie byliśmy “wykończeni” dokumentnie — i kiedy ruszyła z drugiej strony nawała bolszewicka, to niewiadomo było, czy smuć się z tego, czy cieszyć, że bądź co bądź uchroniła duże połacie kraju przed zniszczeniem. Bo wojna była już wtedy beznadziejnie przegrana.

Nieco inaczej wygląda sprawa, gdy zaczniemy analizować to zjawisko. Rzecz szczególna, że to, **co nas napawa wstydem i przygnębieniem, wychodzi zawsze z tych “odgórných” sfer “dygnitarzy sanacyjnych:** tam się czaiło tchórzostwo, dezorientacja, panika, bezradność; natomiast te “rojsty,” te “doły społeczne” — **człopi, robotnicy, drobne mieszczaństwo — świeciły przykładami ofiarności i patryjotyzmu, które wzruszają do łez.** Bo tym biedakom tak mało dała ta ojczyzna, bo wszystko zachowała dla “wybranych” i “zasłużonych.” Tak samo ocenił naszą armję zwycięski nieprzyjaciel: **żołnierz bitny i odważny, walczy bohatercko (heldenhaft), podoficer nieinteligentny, oficerstwo i sztab — zupełnie bez wartości.** Im wyżej, tym gorzej, najgorzej zaś u samego szczytu, tam, gdzie makiem i murem siedziała piłsudczyzna wszelkiego autoramentu. Brakowało tylko “największego” z “wielkich,” twórcy i duchowego rodzica naszej elity: miał **szczęście do ostatka, że nie musiał po raz drugi wiać w pierwszym szeregu, tym razem do Rumunji.** Zastąpił go zresztą godnie “drugi” marszałek.

**JEMU I JEGO POTOMSTWU — wszystkim — obecnym i nieobecnym — żywym i zmarłym — ja,**

mały człowiek, wypowiedam te oto słowa prawdy, które zbyt długo tkwiły mi kneblem w gardle — mnie i tylu innym ludziom: **DOŚĆ NAPUSZONEJ PAPLANINY, DOŚĆ “ZASŁUG” I “CZYNÓW LEGJONOWYCH;**” dość pomiatania ludźmi i wzdardy dla narodu. Bo w tym narodzie “doły” — to wy; “motłoch” — to wy; gnój i zgnilizna — to wy.

### XXXVI

**S**ŁYSZAŁEM, że pan Jan Piłsudski, “rodzoniutki braciszek” wielkiego węsala, onże b. minister skarbu i prezes banku, w chwili swego aresztowania zwrócił się do bolszewickiego komisarza z pytaniem: “za co?” — i otrzymał odpowiedź: **Dość się, bratku, nażarłeś i napiłeś, pora przejść na nasz wikt.**” Chętnie uściskałbym dłoń temu komisarzowi, że w tak lapidarny sposób wyjaśnił jednemu z “przywódców narodu” tę prostą prawdę: że w kraju, gdzie chłop na przednówku przymiera głodem, gdzie chłopskie dzieci nie znają smaku cukru, a zimą trzyma się je w workach ze sieczką, bo niema dla nich ubrań, gdzie ludzie mieszkają w kurnych chatach i suterrenach, lub śpią na hałdach kopalń; gdzie w czasie wojny wysyła się żołnierzy na kolumny tanków z butelkami benzyny lub z gołymi szablami w garści — w takim kraju ministerjalne i dyrektorskie pensje po kilka tysięcy złotych miesięcznie są moralnym niechlujstwem i kryminalnym przestępstwem.

Jeśli dodać, że swe wysokie stanowiska otrzymał pan Jan Piłsudski, nie posiadając po temu żadnych kwalifikacyj, z rąk samego braciszka i jego kliki, którzy zdobyli władzę tak, jak rzezimieszek o północy “zdobywa” portfel zapóźnionego przechodnia, to, zdaniem moim, parę latek bolszewickiego wię-



zienia lub obozu koncentracyjnego trzeba ocenić jako minimum tego, co się mu należy. Słyszałem, że również pan Leon Kozłowski, eks-premjer i wiekopomny twórca Berezy Kartuskiej, został aresztowany we Lwowie, i mam błogą nadzieję, że i on doczeka się sprawiedliwej oceny i nagrody swych "zasług." Jest takich, chwała Bogu, więcej.

Niechżeż tylko ci panowie nie próbują robić z siebie Konradów i Kordjanów, patriotycznych cierpiętników i bohaterów; niech nie szykują nowej "legendy," tym razem "sybirskiej," w oczekiwaniu czasu, kiedy ją będą mogli "ideologicznie" zdyskontować na pensje, ordery i tytuły; niech się nie afiszują pobrzękiwaniem w kajdany i nie rejestrują swych "zasług" i "cierpień." Bo WIĘZIENIA I KAJDANY są dla WYRZUTKÓW SPOŁECZEŃSTWA I ZBRODNIARZY, — a nikt, żaden rozbójnik, żaden złodziej i włamywacz, nie zasłużył sobie na nie tak, jak oni, nasza "rządząca" elita.

### XXXVIII

**Z**ANIM skończyłem me rozważania, nastąpiła nowa "mutatio rerum" — miasto zajęły wojska litewskie na mocy układu z bolszewikami. Snać podobało się Opatrzności raz jeszcze okazać nam szczególną łaskę . . . Może niejednemu "patrjocie," co z tego powodu stracił cztery posady, pójdą nie w smak moje słowa. Ale zwracam się do ludzi dobrej woli i zdrowego rozsądku. Zdaje mi się, że leży w interesie polskości znalezienie jakiegoś "modus vivendi" z rządem i ludnością litewską. Czy się to uda — nie wiem. O jednym powinniśmy pamiętać, że mamy tak strasznie ograniczony wybór. Sądzę, że to dość wyraźnie powiedziane. Byle tylko udało się uniknąć

niepotrzebnych zadrażnień, małosłownych pretensji i ambicyjek, drobiazgowych sporów, "wielkich hałasów o nic," — a także i przedewszystkiem sztucznego mącenia wody przez rozmaite indywidua z pod ciemnej gwiazdy.

Prawda, że układ stosunków w dużej mierze nie od nas zależy. Co jednak w naszej leży możliwości i co powinno być zrobione dla uzdrowienia i oszyczenia atmosfery, to całkowite usunięcie z życia publicznego "uskrzydłych wszy." Bo zostało ich jeszcze sporo—w kraju i za granicą. Mają twarde życie chcą żreć i reprezentować—dwie funkcje, do których okropnie się przyzwyczaiły. Wszak niedoszły Hitler polski, cudownie od "zamachu" ocalony pułkownik Koc, już się wkręcił na ministra skarbu polskiego we Francji.

W Wilnie także sporo się ich uwija. Z trzech pism polskich, wychodzących w mieście, ostało się jedno — i to akurat "Kurjer," wydawany za podatkowe pieniądze gadzinowy organ piśsudczyzny. Już się produkują na jego łamach p. Lemiesz i znakomity strategik w spódnicy p. Romer-Ochenkowska. Zaraz w pierwszym numerze profesor Staniewicz zaczął na starą nutę bełkotać o "największym synu tej ziemi." Osławiony "Związek nauczycielstwa polskiego" też podnosi łeb, pcha się do "reprezentowania sfer nauczycielskich:" ciężkie nań przyszły terminy — ani wyborów fałszować, ani składek członkowskich przymusowo ściągać nie może . . . ;protekcjki i polityczne awanse też należą do przeszłości. Jedno co mu zostało, to spekulacja na "patryjotyzmie." "Zasłużona" pani Pełczyńska także nam się szczęśliwie uchowała i bodajże pan Okulicz, były redaktor "Kurjera Wileńskiego," a ostatnio wielki dygnitarz prasowy zdążył w porę ulotnić się z

Warszawy i pojawił się znów na naszym bruku. Wiele innych gadów przesmyka się pod murami domów. Zdołali już opanować nasze instytucje dobroczynności — reprezentują, urzędują po staremu — i już słychać na nich skargi . . . nawet wśród Polonji Amerykańskiej.

Na razie są jeszcze zdezorjantowani, zastrachani, onieśmieleni. Przestali gadać o “zasługach,” ba, nawet przypomnieli sobie o narodzie: “My Polacy” — z tej beczki zaczynają. Dawniej, a raczej tak niedawno, to był tylko “ten, który,” i policyjne branie za mordę i sojusze wyborcze z żydami przeciwko ludności polskiej i konfiskaty pism i rządu policyjno-starościńskie i “nieznani sprawcy” i rugi partyjników z posad i Bereza Kartuska; a kiedy im zwracano uwagę na poważne ryzyko utrzymywania w poczuciu ustawicznej krzywdy i rozgoryczenia najbardziej patrijotycznych warstw społeczeństwa, odpowiedzieli na łamach “Gazety Polskiej,” że w razie wojny czy rewolucji “endecy” i tak spełnią swój obowiązek, więc ustępstwa dla nich są zbyt cenne.

Te same gady apelują dziś do uczuć solidarności narodowej — i nie wstydzą się. Już zdążyli szeroko spopularyzować tezę, że “wszystko to stało się dlatego, że marszałek umarł; gdyby żył, to tegoroczne święta Bożego Narodzenia obchodzilibyśmy w Berlinie.” To — dosłowne i najzupełniej autentyczne, zasłyszane z ust t. zw. “inteligentnych ludzi.” Mało tego, są i tacy, którzy półgębkiem jeszcze i lękliwie, ale już próbują się wybielać i, co gorsza, zwyczajem marszałka winę zwałać na naród: że to taki “naród indywidualistów,” że wszyscy chcieli brać wysokie pensje, że narzekali wciąż i buntowali się, przeszkadzali marszałkowi i jego współpracownikom, “rzucali im kłody pod nogi” . . . Okazuje się z tego, że

Piłsudski i jego szajka mieli za mało władzy i pieniędzy, chcieliby jeszcze więcej, są nadal "pokrzywdzeni" . . . Na takie apetyty niema rady, nie nastarczy im nikt, to trudno . . . Oni wiedzą tylko jedno, że gdyby marszałek żył. to itd.

Z tego rodzaju niepoczytalnymi bredniami, i to utrzymanymi w trybie warunkowym (casus irrealis) niepodobna, rzecz jasna, polemizować. I nie opłaci się. Z równym prawdopodobieństwem możnaby do tego dodać, że w ciągu następnych paru miesięcy gdyby marszałek żył to zdobylibyśmy pod wodzą marszałka Paryż, Londyn, Madryt, Rzym, Nowy Jork, San Francisco i Honolulu, a święta Wielkanocne obchodzilibyśmy w Tokio. Tak rozszerzona teza pozostaje nadal równo mocno uzasadniona i dla pewnego typu umysłowości — nie do odparcia. To też pozostawiam ją nietkniętą. Ale dobrej rady godzi się udzielić ludziom ciężko na umyśle dotkniętym: "Opamiętajcie się. Ten wasz obłęd pochodzi z długoletniego przyzwyczajenia do wywrzaskiwania na wiecach i wygadywania w obecności zwierchników rozmaitych wiernopoddańczo — lizusowskich hiperboli, w które nikt nie wierzył, wy sami również nie; ale pyskowaliście, bo to się opłacało. I to wam weszło w nałóg. Ale czasy się zmieniły, nikt wam za to nie zapłaci — ani awansem, ani dodatkową posadką, ani gratyfikacją. Niepotrzebnie więc robicie z siebie idjotów większych, niż was nimi natura stworzyła. Jest w tym i umysłowy onanizm i biegunka językowa

— czas się wyleczyć z tych brzydkich dolegliwości.

Na szczęście skończył się czas zaspakajania apetytów, a nadszedł czas głoszenia prawdy i pokuty za grzechy. “Jest czas rodzenia się i czas umierania” — mówi Kaznodzieja Salomonowy. Dla was, dla “wszy uskrzydłych,” nadszedł ten drugi czas, —nieodwołalnie i ostatecznie. Bo powinniście to wreszcie zrozumieć: że usunięcie z powierzchni naszego życia ohydnych szumowin piłsudczyzny — to jedyna nasza korzyść w potopie klęsk i nieszczęść, który na nas lunął, — i że tej jedynej korzyści nie pozwolimy sobie wydrzeć. A jeżeli Bóg kiedykolwiek pozwoli nam odzyskać wolność, to pierwszym czynem odrodzonej Polski będzie zniesienie kopca na Sowińcu, opróżnienie krypty pod wieżą srebrnych dzwonów na Wawelu, zniszczenie wszystkich popiersi, pomników, mauzoleów i zmiana nazw wszystkich ulic, placów i gmachów, splugawionych imionami “wielkiego” i jego służalców, aby nie pozostało — w nich ani poza nimi — nic, żadnych śladów, żadnych wspomnień po haniebnie — koszmarnym śnie jego rządów. Albowiem nawet wspomnienia takie kalają duszę . . .

Ta Hitlerowska straż honorowa u sarkofagu marszałka—ta zapłata za “sympatję, jaką Piłsudski żywił dla narodu niemieckiego” według słów kancлера Rzeszy — i to, o czym niedawno doniosły pisma, że rząd niemiecki wyraził chęć wykupienia odlanego w Jugosławji pomnika marszałka, który ma stanąć w Katowicach, to największa jego hańba: Czytelniku polski! Zastanów się nad tymi zdumiewającymi faktami — zastanów się mocno, głęboko, poważnie, to może zrozumiesz wreszcie, że na ten pomnik — jeden jedyne — Piłsudski zasłużył. Na

pomnik w Niemczech, z napisem: "TEMU KTÓRY ZBESZCZEŚCIŁ I UBEZWŁADNIŁ NARÓD POLSKI I WYDAŁ GO NIEMCOM NA ŁUP."

Pani Piłsudska "zaprotestowała pono przeciwko tym określeniom," ale w danym wypadku zdanie kanclerza Rzeszy jest chyba bardziej przekonujące, niż gadanina "naszej Krupskiej."

### XXXIX

JAK się to jednak stało, że piłsudczyzna zapano-  
wała nad nami i narzuciła nam swą "legendę" i  
"ideologję korytową," — i dlaczego tak się stało.  
Aby na to odpowiedzieć, trzeba by napisać całą ksią-  
żkę, o wiele smutniejszą i boleśniejszą niż ta . . .  
Dziś wystarczy sobie powiedzieć to jedno:

Nikt z nas nie jest bez winy. Naszą wielką,  
bardzo wielką winą, prawdziwą zbrodnią przeciwko  
sobie samym i Duchowi Bożemu, który w nas mie-  
szka, jest to, żeśmy przez czternaście lat cierpieli  
tyraństwo kliki tak nikczemnej, spodlonej, marnej,  
bezmyślnej, szubrawej i tchórzliwej, że trudno w ca-  
lej historii świata znaleźć drugi przykład takiej ohy-  
dy i indolencji "odgórnjej," z takim cynizmem i bez-  
względnością objawianej. To, że nie znaleźliśmy w  
sobie sił, aby tę żarłoczną zgraję przepędzić i wska-  
zać jej właściwe miejsce — rysztoł i kryminał: —  
że czekaliśmy, aż obcy najazd uderzeniem maczugi  
w czaszkę zetrze nam z czoła syfilityczny karkunkuł  
piłsudczyzny; że było wśród nas — ludzi uczciwych  
— wielu takich, którzy załamali się lub ugięli pod  
uciskiem, albo stali na boku, bezradnie potrząc na  
tryumf zbrodni i głupoty; że naszą reakcją na łaj-  
dactwa, krzywdy i szaleństwa były jedynie dowcip-  
ne anegdoty i złośliwe plotki, — to jest nasze bardzo

wielkie przewinienie, za które codziennie powinniśmy się kajać i prosić Boga o przebaczenie: aby się zlitował raz jeszcze nad nami i nad naszą Ojczyzną i nie skazał jej na hańbę niewoli i poniżenie, a nas — na ostateczną zagładę, która nad nami wisi. Przyszłość jest ciemna, jak dno przepaści, — losu naszego nikt przewidzieć nie zdoła . . . Jedno jest pewne, że jest raczej w ręku Boga, niż ludzi.

## XL

**S**KOŃCZYŁEM. Wiem, że nie każdemu pójdzie to w smak. Nie mówię o tych, co stali przy żłobie, — ich “oburzenie” mało mnie interesuje; to, co usłyszeli, jest tylko małym zadatkiem, drobnym a conto należności, która im będzie w całości wypłacona. Chodzi mi wyłącznie o ludzi uczciwych. Wiem, że wielu z nich wzywam do rewizji pojęć, która nigdy nie jest rzeczą łatwą, zwłaszcza w masie. Zbyt długo karmiono nas dzień w dzień trucizną “legendy,” — trzeba pewnego czasu, by z zabójczego czadu ochłonąć. Ale to jest nieodzowne, jeśli mamy być narodem zdolnym do życia . . .

Przeczuwam zarzuty i obiekcje. A więc “przesada.” Pan Lemiesz z “Kurjera” wytłumaczy wam, że jest to “histerja:” najlepszy dowód, że on sam wraz z tyloma innymi “patriotami” zachował wobec bezprzykładnej katastrofy narodu zupełną równowagę ducha i pogodę umysłu, godną starożytnego mędrca — stoika. Ale zaręczam, że będziecie w grubym błędzie, jeśli dacie wiarę tym podszeptom. To, co zawarłem w tej książce, jest tylko drobnouchną cząstką tych łajdactw, które działały się na każdym kroku i które dotychczas ukrywają się w cieniu, wiadome tylko nielicznym jednostkom. Gdy



sprawki te wyjdą na jaw, usłyszymy historje, wobec których "Baśnie z tysiąca i jednej nocy" są płasko-realistyczną anegdotą.

Drugi zarzut: że teraz nie pora na tego rodzaju porachunki, w tych ciężkich czasach trzeba się jednaczyć pod hasłem zgody narodowej. Owszem — zgoda i współpraca wszystkich uczciwych ludzi — całą duszą podpisuję się pod tym. Ale zgoda z bakterją, która strawiła nasz państwowy organizm? Zgoda z tyfusiastą wszą, która nas zaraziła — oby nie śmiertelnie; — i jeszcze na naszym pół-trupie żeruje? Zgoda z szajką przestępców, którzy nas uciskali i grabili przez szereg lat, a wreszcie doprowadzili do zupełnej ruiny? — Nie, taka zgoda — to samobójczy brak instynktu samozachowawczego i woli życia. Właśnie naodwrot — teraz jest czas do rozpoczęcia radykalnej kuracji, — im prędzej, tym lepiej.

Wreszcie trzeci zarzut: że nie należy swych brudów pokazywać obcym. Ale jest to naiwny i śmieszny argument, wysuwany i podsuwany innym przez tych, którym zależy na tym, aby ich brudy nigdy nie ujrzały światła dziennego. Zauważmy, że niema sposobu załatwić tego porachunku bez świadków: gdzie i kiedykolwiek urządzimy "wielkie pranie," zawsze dojdzie to do wiadomości obcych — od tego jest radjo i prasa; powtóre, że ci obcy, jak się to nieraz dowodnie okazało, byli i są o wiele lepiej o tym poinformowani, niż my sami: nie od dzisiaj w zagranicznych gazetach jesteśmy zmuszeni szukać prawdy — o sobie. Po trzecie wreszcie: co jeszcze zostało do ukrywania i w imię czego? Stało się już to, co mogło się stać najgorszego i najstraszniejszego, — i stało się jawnie, na oczach całego świata. Więc o co tu chodzi? — jak mawiał mini-

ster Beck — o ukrywanie czegoś, czy też kogoś?

W imię powyższego wzywam wszystkich ludzi dobrej woli i uczciwych Polaków:

1) do bezwzględnego bojkotu całej piłsudczyzny ze szczególnym uwzględnieniem robactwa wyhodowanego na gnojowisku B. B. i Ozonu: zamykajmy przed nimi drzwi naszych domów i instytucji, bo to są trędowaci i wyklęci, których oddech niesie zarazę, a dotknięcie sprowadza chorobę.

2) do wykrywania i ujawniania wszystkich przestępstw i łajdactw, które pozostają dotychczas w ukryciu, wskazując bez ogródek winowajców.

Ten materiał dowodowy przechowujmy starannie aż do dnia ostatecznego załatwienia naszych porachunków z "uskrzydłą wszarnią." Bo dzień ten prędzej czy później nadejdzie.

